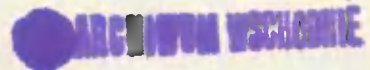


Janusz Grzenicki Archiwum Uschadnie 17
nagrywał Wiesław Krasnodębski — 1988r



Nazywam się Janusz Grzenicki. Mam w tej chwili skończone 62 lata. Urodziłem się w Częstochowie i tam mieszkałem do 39 roku. W 38 ojciec został przeniesiony do Wilna na stanowisko inspektora w Izbie Wileńskiej Rolniczej. Myśmy byli jeszcze w Częstochowie, nazywało się, że z czasem przejdziemy do Wilna. A ten czas nastąpił dość szybko bo wybuchła wojna. Wymiana telegramów - czekajcie, ja przyjadę. No, oczywiście nie czekaliśmy bo u nas było tak gorąco. Już wiedzieliśmy co się dzieje. Znajomych mieliśmy wojskowych i to nie było żadnym problemem, wiadomo było o co chodzi. W rezultacie, pociągiem z 31 na 1, czyli w noc wybuchu wojny, w dzień wybuchu wojny, bo nad ranem wybuchła, jechaliśmy do Warszawy gdzie znaleźliśmy się 1 września z matką u rodziny. U wujka zatrzymaliśmy się, na Placu Zbawiciela. I przez pierwsze 7 dni byliśmy w Warszawie. Chcieliśmy, naturalnie, dostać się do Wilna, do ojca. Pociągiem wojskowym, gdzie nas dosłownie dopchano na siłę, dostaliśmy się do Wilna, jadąc oczywiście z olbrzymimi przerwami bo i naloty i najrozmaitsze historie. W rezultacie któregoś tam dnia, nie pamiętam dokładnie, to był 9 czy któryś września, znaleźliśmy się w Wilnie u ojca. I tak się rozpoczyna mój etap wileński.

Oczywiście wiadomo, za parę dni przychodzą Rosjanie do Wilna. Sytuacja ogólnie znana. Głodek nr 1, stanie w kolejkach całe noce po kawałek chleba, później oddanie Wilna Litwinom. Ja z autopsji nie mogę dużo o tym powiedzieć, ponieważ ^{tylko} ja widziałem te kałmuckie twarze i ten cuchnący z daleka, bo to na parę metrów się czuło, ten ich specyficzny środek, którym się zabezpieczali chyba przed wszami, bo nie przypuszczam żeby przed czymś innym. W każdym razie jeśli się szło z zamkniętymi oczyma po ulicy lub się miało głowę spuszczoną na dół, to na parę metrów przed tym już się wiedziało, że idzie sowiecki żołnierz, bo tak zwanym dziegciem, jak myśmy to nazywali, jechali. Jak wyglądali? To wiadomo, że karabiny na

sznurkach, że handlowali zegarkami, które niktórzy po raz pierwszy w życiu widzieli, że im nasi cwaniacy upychali zegarki, które już od lat nie chodziły, na zasadzie, że potrząsnął kilka razy, więc on usłyszał, że sekundnik pracuje, i to wystarczyło żeby kupić, a za minutę zegarek był do niczego, zresztą był od początku. Takie różne żarciki, że panianki rosyjskie chadzały sobie w koszulach nocnych jako strojach balowych, które gdzieś tam wyrwały ze sklepu. Sklepy zostały momentalnie ogołoczone bo przelicznik był wtedy bodajże 10 zł - 1 rubel, czy coś takiego. W każdym razie tak korzystny, że oni za te ruble mogli wszystko kupić i naturalnie błyskawicznie wycupili. Głód, nędza. Beznadzieja zupełna. Nas w dużym stopniu uratowało to, że koszary, które w ostatnich dniach przed przyjściem Rosjan, ludzie zaczęli, że tak powiem, oczyszczać. Ja mając wtedy lat 12 jeszcze przytargałem, ciągnąc po ziemi, około 30 kg mąki w worku. I później, po kilogramie tę mąkę myśmy na chleb wymieniali, więc o tyle więcej mieliśmy tego chleba. Parę pušek ozorków gdzieś ojciec jeszcze zakupił, Do końca życia już nie lubię ozorków, chyba z tego tytułu, bo pamiętam tylko chleb i te ozorki.

Przyszli Litwini bardzo króciutko po tym, bo zaledwie parę miesięcy to trwało. Sytuacja aprowizacyjna, całe zaopatrzenie poprawiło się. Otworzono szkoły. Wstąpiłem do Gimnazjum Zygmunta Augusta. To się nazywało wtedy Widuri Jemokikła Albienorik, to Widuri Jemokikła, jedna szkoła męska. Tam robiłem pierwszą gimnazjalną i następnie w roku 40 na 41 drugą gimnazjalną zacząłem w Gimnazjum Uchodźców, dlatego, że takie zostało utworzone dla uchodźców w Wilnie.

Po przyjsciu Niemców do Wilna, po zdobyciu, jakież to było zdobycie!. Obrony żadnej nie było poza przeciwlotniczą. Walk o miasto nie było śadnych, przynajmniej w tym rejonie gdzie ja mieszkałem, a to właśnie od tej strony Niemcy nadchodzili. W rezultacie z dnia

na noc, po paru nalotach, w nocy byli jeszcze Rosjanie, rano już Niemcy byli w mieście. Oczywiście, z kolegami, z ciekawości, w tym wieku człowiek gdzieś tam wrywał się z domu, gdzieś na szosy w pobliże miasta. Szosy zawałone były sprzętem. Zawałone tzn. rzeczywiście, nawet później, będąc już jako żołnierz II wojny światowej, tutaj w 44 i 45 roku nie widziałem nigdy takiego odcinka szosy tak zawałonego sprzętem porzuconym w czasie ucieczki. Ucieczka była wręcz typowa, jak można tylko określić ucieczkę biegiem, to znaczy widać było biegiem uciekających, ucieczka paniczna i hańbiąca - to było dno zupełne. Przy czym przedtem wielkie czołgi jeździły po mieście. Te pudła i6 - strzelnicowe, w których chyba 12 siedziało. Wydawało się, że to jest taka potęga, która co najmniej będzie się opierać, a jeśli nie opierać to nawet zwycięży. To była jedna wielka kompromitacja, nawet dla nas, dla Polaków, którzyśmy mieli swoiste zdanie na ten temat, mimo wszystko patrząc na te czołgi - nie czołgi, to sądziliśmy, że oni zwiną żagle tak błyskawicznie. To była kompromitacja.

Co było dalej poza Wilnem nie wiem, bo tam już nie byłem w tym czasie. Jak powiadam, w odległości tych 5 - 10 km, chodząc z kolegami, nawet żeśmy jakieś 2 karabinki zagrzebali w piasku, które na pewno później diabli wzięli, bo nawet i odszukać później nie mogli.

Zaczęły się już komplety jak przyszli Niemcy, bo poza zawodowymi szkołami, kilkoma, dwoma, o których ja nawet nie bardzo wiem, jedna była na Holenderni, druga jeszcze gdzieś, także były organizowane małe komplety u znajomych. Nie trwało to długo ponieważ w roku 42 ze względu, znowu na sytuację żywnościową, która była też słaba, nie tak beznadziejna jak w okresie, że tak powiem działalności towarzyszy, ale jednak ciężka, przenieśliśmy się do majątku Wormiany położonego 60 km na wschód od Wilna, czyli po prostu w kierunku Świr, Świry, jeżdżąc jeździą Narocz. Ojciec został tam kie-

rownikiem młyna a ja zostałem tzw. pomocnikiem kierowcy, to znaczy koło napompować itd., miałem wtedy chyba czternasty rok. W majątku był gazik rosyjski, taki samochód, którym przewożono mąkę czy jakieś inne rzeczy do ligenszaftów, powiedzmy ~~ty~~ do zarządców gdzie należało tę mąkę przekazać.

Poznałem tam kolegę, rówieśnika mojego, którego dziadek z kolei ~~był~~ był tam administratorem. Ten dziadek zmarł, to był koniec 1942 rok początek 43 i zaistniała konieczność przewiezienia zwłok tego dziadka do grobu rodzinnego pod Niemenczyn. To znowu było w odległości około trzydziestu kilku kilometrów na północ od tej miejscowości, jakby w kierunku na Litwę. Jakaś taka decyzja zapadła, że chłocy zawiozą to ciało. Nie wiem dziś dlaczego tak się stało. W każdym razie te dwa pętaki wsiadały na trumnę, bo właściwie śmy na trumnie siedzieli. Z końmi umieliśmy się już obchodzić, to nie był problem. Piaszczystą drogą dotoczyliśmy się po iluś tam godzinach z tym ciałem w lecie, pamiętam, było gorąco bo nawet rozkład ciała następował, to się czuło. Pogrzeb w tym majątku bo to był majątek Pokrajczyna na Wilią, 7 km od Niemenczyna, którego właścicielką była ciotka tego mojego kolegi, pani Maria Umiastowska. I tam, ^{jak} się okazało, były bardzo ładnie zorganizowane komplety, między innymi taka znana postać - doktor Sylwanowicz wykładał tam parę przedmiotów, anatomię przede wszystkim, inż. Niciejowski, jego siostra ^{pani} Niciejowska - polonistka, filolog. I po prostu zdecydowałem się tam zostać, mając zresztą zaproszenie tej pani, właścicielki majątku, ciotki mego kolego. Rodziców powiadomiłem, zaakceptowali to i zostałem w tym majątku. Uroczy majątek położony nad Wilią, ogórek tarasami schodził w dół do Wilji. Na około, w promieniu 5 km tylko lasy, żadnych zabudowań, dopiero po drugiej stronie Wilji parę chałupek - miejscowość Tuszczeville zamieszkała przez tzw. tamtejszych, bo to nie były zaścianki szlacheckie, to była taka ludność trochę,

film
czy foto

pół zbiałoruszczona - zdieszń. I tam, zaraz króciutko po tym jak przybyłem w lecie w 42, już na jesieni, wśród młodzieży, która zbierała się na kompletach, już właściwie było wiadomo, że istnieje konspiracja. Już się mówiło, że są jakieś "piątki", że jest jakiś komendant ale jeszcze nas nie dopuszczono do tej tajemnicy, to nastąpiło w jesieni 42. No, byliśmy gówniarzami krótko mówiąc, ale rzeczywiście był taki komendant siatki pseudonim "Biskup" w miejscowości Spragielino położonej 25 km od Pokrajczyzny też na Wilją, w górę rzeki. To była taka miejscowość, jak byśmy określili dzisiaj, dacz podmiejskich, tzn. profesorowie, inżynierowie, inteligencja wileńska tam, jeszcze przed wojną, miała letnie domki, które wykorzystali w tym czasie już jako miejsce zamieszkania wyprowadzając się z Wilna. Stąd to środowisko było bogate, że tak powiem, w siły fachowe i te komplety mogły rzeczywiście mieć jakąś wartość. Tam właśnie kończyliśmy II i zaczynałem III klasę gimnazjalną.

"Biskup" nas zaprzysiągł z wielkimi szykanami no i oczywiście jako główne zadanie mieliśmy zapoznawać się z regulaminem, który do dziś zresztą mam w domu. Przedwojenny regulamin, jakim cudem on przy mnie został. to dziś nie pamiętam, tak widocznie go pieczołowicie traktowałem. Poprzez rodzinę, oczywiście, został u mnie, u matki się znalazł, przedwojenny regulamin drużyny strzeleckiej.

Te regulaminy i szukajcie broni, i do tego doszedł do nas, do kompletu Stasiu, później miał pseudonim "Edek" - Stanisław Czeszumski który zajmował się zbieraniem ziół, skupywaniem ziół, Starszy-był od-nas-o-3-lata chyba w ramach instytucji litewskiej zwanej Sodybą bodajże, taka jakaś nazwa była. Starszy był od nas o 3 lata. I pod tym pretekstem, chodząc po wsiach, w rozmowach przy wódce, bo już sobie pociągał, dowiadywał się od okolicznych chłopów gdzie tu może być jakaś broń, gdzie kto zostawił. W rezultacie, oczywiście te jego informacje były kapitalne, dalej odbywało się to w ten

sposób, że my w nocy, my, mam na myśli tego Włodka, u którego mieszkalem, we trójkę, ja i ten Staszek, szliśmy pod jakieś strzechy z wyciorami stalowymi i żgaliśmy te miejsca i wyciągaliśmy k jakieś odrezańki tzw. z odciętą lufą albo nawet jakieś całe fuzyjki. W sumie, przez okres chyba pół roku, to już była zima, oczywiście mówię o zimie 42/43 do wiosny, mieliśmy gdzieś 7 sztuk broni zgromadzonej u siebie, łącznie nawet z jednym autematem fińskim, z tym, że niestety nie miał magazynka. Dalej konsekwencją tego były samowolne treningi strzeleckie, na co nam "Biskup" nie pozwalał. No ale myśmy mieli parę sztuk amunicji i doszliśmy do wniosku, że jeśli mamy już broń to trzeba się ćwiczyć w strzelaniu. Załatwiliśmy to w ten sposób, że przepływaliśmy łódką przez Wilję. Tam za rzeką były duże lasy, to po tej stronie gdzie mieszkaliśmy, gdzie był majątek, 5 km znowu jakby w kierunku na południe szła linia kolejowa, ta właśnie łącząca Wilno - Dynaburg i tam już były niemieckie posterunki, tzw. sztycpunkty. Co parę kilometrów były bunkry i wobec tego w tamtym kierunku już nam zupełnie nie konweniowało chodzenie. Odwrotnie, przepływaliśmy Wilję, szliśmy 5,6,7 km w lasy i tam do jakiegoś celu, lepszego czy gorszego śmy sobie popukiwali. Kapitalne jest w tym to, że Niemcy, którzy przychodzili ze sztycunku do majątku po mleko, po śmietanę, po różne inne rzeczy, na-wet w trybie /charakterze/ towarzyskim komendant przychodził. Ponieważ pani Umiaszowska, właścicielka majątku znała język niemiecki i jeśli on nie mógł się porozumieć to z nią konwersacje nieraz prowadził. Kilkakrotnie po tych naszych strzelaninach przychodził i mówił, że jednak bandyci grasują na północy za Wólją, że my te strony znamy, że on jakiś patrol zorganizuje i pójdziemy ich poszukać. Myśmy się zgodzili, że jako przewodnicy pójdziemy i szliśmy na te swoje miejsca, tam mniej więcej, i nawet nogami żeśmy łuski kopali, że o proszę, tu jednak ktoś strzelał, a to swoje własne

łuski, z których żeśmy strzelali. Ot, to taki żarcik.

Zaczynało się lato 1943. "Biskup" już nas formalnie zorganizował w "piątki". Dowódcą takiej "piątki" był mój kolega Włodek, mimo, że mój rówieśnik ale bardzo rosnym był chłopcem. Wyglądał wtedy na jakieś 17 lat a miał nieskończone 16, tak, że "Biskup" mianował go komendantem "piątki" i przeszkolenie z nami właściwie Włodek prowadził sam, zresztą nie mając żadnego przeszkolenia - ale z regulaminem w ręku. Po-za tym były dwie małe akcyjki, bo pod Niemenczyn żeśmy w nocy podeszli, ostrzelaliśmy posterunek z daleka. Oczywiście to nie była żadna walka, to było ostrzelanie prowokujące, to że policja niemiecka i litewska wyleciała, zaczęły strzelać seriami, gdzieś tam walić, strzelać, a myśmy byli od nich jakieś dwa, trzy kilometry. Strzelaliśmy po prostu po oknach. To była taka dziecinada.

Jedna z takich rzeczy poważniejszych, jak na owe czasy "piątkowe". Dowiedzieliśmy się jakimiś drogami, że w samym Niemenczynie, w jakimś tam parku, ogrodzie jest zakopany rkm czeski, który zostawili uciekający żołnierze. Chodziliśmy tam kilkakrotnie, chyba trzykrotnie z bronią w ręku żeby ten rkm wykopać. Była także taka sytuacja żeśmy weszli do chałupki, do domku żeby się czegoś napić bo akurat mieliśmy pragnienie. Okazała się, że w drugiej połowie /domku/ akurat siedziała policja litewska, tak, że na kołytarzu powinniśmy się spotkać. Nie spotkaliśmy się na szczęście. W rezultacie tego rkm-u myśmy nie znaleźli. Ten rkm znaleźliśmy w 1944 - to taki mały przeskok, ale to już w innych okolicznościach.

I prawdopodobnie życie tak by się toczyło, już słyszeliśmy o oddziałach, nawet wyłowiliśmy w Wilji dziesięciostrzałówkę sowiecką, którą stracili przy przeprawie rosyjscy partyzanci i Staszek ją gdzie wyniuchał i to wzbogaciło nasz arsenał. Ale komendant tego posterunku, nawet pamiętam jak się nazywał - Klare, upodobał sobie mego ko-

legę, Włodka, zresztą tak wybitnie aryjsko wyglądał, nordycko można powiedzieć, bo blondyn, niebieskie oczy. Przystojny chłopak. I doszedł do wniosku, że przecież właściwie niemiecki nawet trochę znamy, że nie ma żadnej przeszkody, że jak on teraz na front będzie szedł, bo go mają wziąć na front, bo teraz tu jest na odpoczynku, to takich dwóch ochotników mógłby wziąć ze sobą. Zgłupieliśmy zupełnie, nas jako ochotników? - tak do armii niemieckiej. Myśmy wtedy mieli lat 16. Nie wiem czy to były żarty. Dziś z perspektywy czasu przypuszczam, że to chyba były żarty głupie a myśmy potraktowali to śmiertelnie poważnie. Udaliśmy się do "Biskupa" i co robić? bo Klare ma wyjeżdżać niedługo na front a tu takie propozycje nam stawia. No mówi, nic prostrzego, trzeba przeskoczyć na inny teren, zamelinować się. I dał nam namiar na położony w sąsiedztwie, 15 km na południe, a więc w kierunku tej miejscowości gdzie moi rodzice mieszkali, w połowie drogi, miejscowość Bujwidze, gdzie komendantem siatki był "Marek", taki był jego pseudonim. Nazwisko kiedyś słyszałem ale nie utrwalilem. Zameldowaliśmy się do "Marka", tzn. wyszerowaliśmy po prostu zabierając jakieś manierki, coś do jedzenia, jakąś słoninę. Znaleźliśmy się w Bujwidzach pod wieczór, mieliśmy, naturalnie, wskazany adres do "Marka". Mówię myśmy, to trzeba sprecyzować: Włodek i ja, bo Staszek, który był naszym pośrednikiem w tym czasie, nie był zagrożony. On nie mieszkał w tym majątku, tych propozycji nie miał, więc nie było powodów żeby się związał. Ale ustaliliśmy oczywiście system łączności: Staszek będzie bywał co pewien czas w Bujwidzach, no choćby z tego prostego względu żeby nas informować co się dzieje w naszym rejonie, a ja jednocześnie - naszą rodzinę, co z nami. Tak, że on wiedział - że my jesteśmy u "Marka" i że będziemy tam. Wchodzimy już do "Marka" i tu pierwsze zaskoczenie, jesteśmy częstowani jakąś kolacyjką, jakieś uroczsze starsze panie tam nas podejmują a jednocześnie szum słychać na piętrze,

jakieś głosy. "marek" już dostał tę karteczkę od nas, od "Biskupa" a więc wiedział kim jesteśmy. Po schodach schodzi trzech chłopców, z tego chyba dwóch było w mundurach niemieckiej a jeden, na wpół cywilnie ubrany, przy czym z bronią. No więc zaskoczenie niesamowite, skąd chłopcy z bronią. Okazuje się, że u "Marka" już tutaj trzech jakichś jest, bo skądś musieli się zwinąć, i po prostu to jest załączek grupy, która ma tutaj działać. Myśmy się jeszcze w ogóle nie poczuli do tego żeby stać się takimi, więc tylko z nabożeństwem żeśmy patrzyli. Zresztą niedługo, bo na drugi dzień, po przespanej nocy dostaliśmy wskazanie, że w odległości 5 km na południe od tej miejscowości, a właściwie na Wilno czyli na zachód, u państwa, nazwisko doskonale pamiętam, Masłowskich, bo los tak chciał, żeśmy się z nimi po wojnie spotkali, zostaliśmy zakwaterowani jak gdyby na melinie. Był to zaścianek szlachecki położony wśród leśnych chaszczy, w pobliżu praktycznie żadnych zabudowań. I tam znowu spotkanie, bo taki jakiś pan w butach w cholewami, o ruchach, sposobie bycia takim wojskowym, od razu było widać kto zacz. Okazuje się - porucznik, pseudonimu ani nazwiska nie pamiętam, kawalerzysta od Łupaszki, który był ranny w jakiejś akcji, która miała miejsce krótko przed tym, i tam był na rekonwalescencji. Myśmy się do niego przypięli. On nam zdawał różne relacje. Zresztą będąc tam chyba przez dwa tygodnie, a jest to już 43 rok - jesień, pamiętam, że nawet śnieżek popadywał, dwukrotnie czy trzykrotni^e odwiedziło go dwóch kawalerzystów od Łupaszki. I jak dziś pamiętam jeden miał pseudonim "Mrok" a drugi, chyba się nie mylę "Słowik" albo "Skowronek".

Te rzeczy bardzo mocno utrwaliły mi się w pamięci ponieważ to było pierwsze wojsko, które widziałem poza tą naszą lichą konspiracją.

Nie pamiętam pseudonimu rannego kawalerzysty, nie zapytaliśmy, czy

on nie wymienił, mówiło się do niego - panie poruczniku po prostu. Może właśnie z tego względu, bo tak się zwracali do niego Masłowski i my też. Odwiedzał go ten "Mrok" i śpiewali piosenki. Też tych piosenek nie pamiętam, a bardzo nam to imponowało. Ale ja byłem, dość taki sobie ... no bohaterem nie byłem i jak "Mrok" zaczął opowiadać o tych wszcach, o tych marszach, o tym wszystkim, to myślę sobie, cholera z tą partyzantką, po to przecież jesteśmy, po to się szkolimy ale tak się nie będę spieszyć do niej bo to trzeba jednak trochę okrzepnąć a to był rok 1943, a ja jestem rocznik 1927, a więc wtedy miałem 16 lat. Nie byłem mocarzem w odróżnieniu od tego swojego kolegi, który mnie prawie o głowę ~~przewyssał~~ ^{przerastał}, mimo, że rówieśnik, taki barczysty, ja byłem zdechlakowaty. Zresztą na zdjęciach z partyzantki to widać.

Pewnego wieczora, a właściwie pewnej nocy kiedyśmy tam dłużej sobie siedzieli i pogadywali z panem porucznikiem jak i z panem Masłowskim, który się żywotnie wszystkim interesował. Śnieg już padał - to pamiętam. Pukanie do drzwi, liczne głosy, szum. Wchodzi 11 ludzi z dowódcą o takim rudawym zaroście, niewysoki, krępy, no i do tego 10 chłopców z bronią, częściowo umundurowani. Przywitanie, jakiś poczęstunek, rozmowy. My oczywiście patrzymy, oczy nam na wierzach wychodzą jak trzeba, a on nas pyta, a co wy tu robicie? Z porucznikiem sobie pogadali. A my tu jesteśmy na melinie z polecenia "Marka". No to się świetnie składa - co się świetnie składa? Bo ja właśnie mam upoważnienie do organizowania tutaj /oddziału/. Wśród tych dziesięciu przybyłych było trzech, których wcześniej widzieliśmy u "Marka" a tym, który przyszedł był pan porucznik "Wilczur" ówczasie noszący pseudonim "Wilk", nazwisko i imię: Wilhelm Ditmajer, jak się później, po wojnie dowiedziałem. Wtedy Wtedy to był po prostu "Wilk".

"Wilk" zmienił swój pseudonim, tu wyprzedzam, w maju chyba - na

"Wilczur" z uwagi na to, że już pseudonim pułkownika Krzyżanowskiego był słyszany wszędzie, żeby nie było pomyłek więc starszej ^{MM} rando ^{GA} musiał ustąpić, zrobił się "Wilczurem".

Ale ówczas jeszcze "Wilk" krótko i z radością oznajmił, że, no to świetnie, to mamy następnych żołnierzy do brygady, która się tworzy. Nie nazywało się brygadą tylko oddziałem.

Włodek, później pseudonim "Wiś", ten który ze mną był /przyjął to/ z entuzjazmem, ja jeszcze próbowałem jakichś wybiegów w rodzaju, że, no ale bez rozkazu "Marka", my tu właściwie na melinie, a "Biskup" nasz dowódca itd. - To macie z głowy. Przyznaję się szczerze, że się wcale nie paliłem. To co zobaczyłem, usłyszałem od "Mroka" to mnie troszeczkę osadziło, czułem, że ja nie dam rady fizycznie. Ale nie wypadało inaczej. Oni już nawet nie nocowali, odpoczęli trochę i już z nimi razem wymaszerowaliśmy na kolejne miejsce. Jaka to miejscowość nie wiem, nie znałem tej miejscowości. To było niedaleko Bujwidz. Spanie w jakichś chałupkach, oczywiście na podłodze. Zasada była taka, że snopek słomy rozsypywało się na podłodze, resztę pod głowę, broń pod ścianami, naturalnie posterunki i pokotem towarzystwo leżało w tym w czym było. W chałupkach było przeważnie ciepło, aż z ciepło bo oni dobrze drzewem palili, tak, że raczej gorąco było niż zimno. Praktycznie niczym człowiek się nie przykrywał poza tym co miał na sobie, kurtkę czy jakiś płaszcz. Sprawa broni. Zaraz w pierwszych godzinach rozmawiał z nami /dowódca/ pytał czy mamy jakąś broń. Oczywiście powiedzieliśmy gdzie jest nasza broń i to było chyba na drugi lub na trzeci dzień pobytu w tym oddziale. Dał nam jeszcze dwóch kolegów do pomocy i poszliśmy znowu te 15 km w nasze strony, tam do Pokrajczyzny. Schowek na broń mieliśmy w lesie. To była wykopana dziura pod takim starym pnem, w którą była wprowadzona pionowo skrzynia drewniana, osmołowana, obita blachą i z wiekiem, które od góry się zdej-

mowało, czyli taka kapka, tak, że powierzchnia była nieduża bo tylko tę czapkę się zdejmowało i karabiny wsuwało się wzdłuż do skrzyni. Zabraliśmy to wszystko, znowu przez tory, bo z powrotem przez tory trzeba było przechodzić, a były pilnowane więc trzeba było odczekać czy patrol nie idzie i za parę godzin byliśmy znów w oddziale. Targałem tę swoją broń. Ja zostałem ze swoim mauserkiem, to był Mauser produkowany w Erfurcie, pamiętam jak dziś. Karabinek Erfurt - rok chyba 1918 albo 1920, a kolega miał czeską Zbrojówkę, też jak dziś pamiętam. Później przerzucił się na SWT, na tę dziesięciopstrzałówkę.

To był chyba grudzień. Do świąt nie się nie działo. Marza, ówczesnia, święta. Kilku poszło gdzieś w pobliże do jakichś rodzin. Tam ich "Wilk" puścił. My Wigilię spędziliśmy wtedy u "Marka", w pierwotnym miejscu gdzieśmy się znaleźli, u tych pań. Później styczeń. Żadnych akcji nie było poza organizacją broni.

I teraz tutaj mnie pamięć zawiodła, już na początku. To jakoś dziwnie się stało, że ja, i z rozmów później z kolegami też nie potrafiłem odtworzyć, czy w tym czasie, w końcu stycznia przyszedł do nas pluton wiejski, jak myśmy nazywali, gdzieś z południa. Około dwudziestu kilku chłopców umundurowanych w mundury polskie. To byli przeważnie żołnierze wrześniowi. Dołączyli do naszego oddziału. Czy to było po tym jak dołączył oddział miejski z Wilna, ale to chyba ten tzw. oddział wiejski dołączył. Tak więc w sumie nas było około trzydziestu i mieliśmy także dwie małe akcje.

Jedna to była w Bezdanych na posterunek. Ja nie brałem bezpośrednio udziału. Ośmiu chłopców dowódca wydzielił. Myśmy byli na ubezpieczeniu. Ten posterunek został zlikwidowany. Zastrzelili jednego Litwina, dwóch uciekło. Zabrali trzy - cztery sztuki broni i to było wszystko. Druga akcja to była właściwie pieniężna. Stacja kolejowa z banszucami, . Ostrzelanie. Uciekli. Zabraliśmy w woreczku

jakieś pieniądze na potrzeby oddziału. Tak się to nazywało. Różnie ludzie na te tematy mówią, o tym zbieraniu pieniędzy. Jeszcze nie wtedy ale wkrótce potem gdy staliśmy się brygadą płacono nam żołd w wysokości 20 rubli dziennie. W jakim celu?. Mieliśmy przecież wyżywienie w oddziale. Polegało to na tym, że już powstały kotły prze-
wożne. Już trochę wyprzedzam, bo to było w lutym, gdzieś pod koniec lutego jak te kociołki powstały. Ale w każdym razie już był kwatermistrz, który się zajmował i kupował, był świadkiem kupowania owcy, cielaka itd., a więc pieniądze na to musiały być. I ten żołd, który nam płacono. Żołd płacono po to, że jeżeli komuś chciało się wypić szklaneczkę śmietany lub zjeść jeszcze coś innego w jakiejś cha-
łupce a ktoś nam tego nie prezentował, to należało zapłacić. Jak chciałem sobie wypić szklaneczkę ~~śmietany~~^{śmietany}, przyszedłem mówiąc: proszę pani, czy na wół po białorusku, to czy tamto bym chciał, np. jajko jak nie, to oczywiście za darmo przyjmowało się te dodatki do jedzenia, do kotła.

Ale wracając. Jest teraz luty. Jak to się, ja byłem tylko szeregowym, więc trudno mi powiedzieć. Pewnego dnia rano widzimy pana, który ma bardzo ładne rysy, wręcz przypomina Araba. Orli nos, wąsiki czarne, ciemna karnacja. I wobec niego "Wilk" występuje jako podwładny. Za godzinę czy za dwie, nagle jest zbiórka. Pamiętam słońce tak mocno świeciło, może był śnieg to ostro świeciło słońce. Widzę to dziś tak jasno bo myśmy stali pod słońce. Stoi "Jurand", to był właśnie "Jurand", który przyszedł z Wilna i objął dowództwo tego oddziału i zawiadomił nas, że jesteśmy Pierwszą ^{Wileńską} ~~Brygadą~~ Brygadą Armii Krajowej, tak dokładnie nazwał. Zdaliśmy sobie sprawę, że pierwszą, bo już wiedzieliśmy, że są inne i do dziś dnia nie wiem dlaczego numeracja tak wyglądała, bo przecież przed nami był "Sz "Szczerbiec", który był Trzecią Brygadą, przed nami był "Łupaszko", który później został V Brygadą. Dziwię się, że my byliśmy Jedyńką.

Tego nie wiem, nie potrafię wytłumaczyć. Nazwani zostaliśmy I Wileńską Brygadą. Przy czym zaraz, za parę dni było spotkanie z plutonem, później zwanym miejskim, tzn. z grupą chłopców, którzy w większości uciekli z He Ka Pe - Hers Kraft Park-u - to były Zakłady Samochodowe, gdzie byli przymusowo zatrudniani Polacy. Uciekli z jakąś bronią zorganizowaną, bo ją nawet nieśli w koszach. Krótką broń i granaty, to nieśli po dwóch, jak dziś pamiętam, w dużych, plecionych koszach. I wtedy, to już jest koniec lutego, jest nas około 50. "Jurand" wprowadza już zupełną dyscyplinę wojskową. Codzienne apele. "Wilczur" jest jego zastępcą. Szkolenie normalnie wojskowe: regulaminy, musztra, ćwiczenia, służba wartownicza. Jest zupełne wojsko, oddawanie honorów obowiązuje nawet do tego stopnia że w czasie przechodzenia przez wieś, w której akurat staliśmy, jeżeli mijalem starszego stopniem kaprała miałem obowiązek oddać mu honor. "Jurand", jak się okazało później, to już przecieki były od tych, którzy byli bliżej sztabu, był prymusem Szkoły Oficerskiej w Toruniu. Miał nawet w prezencie pistolet z plaketką od Prezydenta Rzeczypospolitej, a więc był wzorowym oficerem. Oczywiście od razu zorganizował żandarmerię. Ja będąc później w wojsku, niejednokrotnie przypominałem i mówiłem swoim oficerom, że takiej dyscypliny i porządku jakie były w nas w partyzance, to w naszym regularnym wojsku nie było i nie spotkałem. Był aż do przedady. Zresztą dalej. Jest połowa, może koniec lutego. "Jurand" jest wezwany na jakąś odprawę. Oczywiście nie wiem dokąd, bo byłem, jak powiadam szeregowcem w tym czasie. Dlaczego mówię koniec lutego, bo to było przed 1 marca, dlaczego przed 1 marca - zaraz wyjaśnię. Była taka akcja 1 marca. "Wilczur" organizuje manewry. Dzieli tę naszą Brygadę na dwie grupy. Jedna zajmuje jak gdyby obronę przed lasem, druga atakuje od strony wsi. Wtedy jeszcze "urzędowała" u nas wódka, tzn. pokątnie, jeżeli komuś udało się jakiś samogonczyk

zorganizować, to sobie chlapnął na rozgrzewkę. Ponieważ było wiadomo, że "Jurand" wódki nie lubi, więc jak on był, to tak jakoś nie nie wypadalo, natomiast jak "Jurand" zniknął na te dwa dni, a "Wilczur" sam lubił wódkę, więc wszyscy rzeczywiście byli na obrotach. W rezultacie doszło do tego, że z tych manewrów zrobiła się strzelanina. Całe szczęście, że jeszcze nie wszyscy byli na tyle "zapluci", że zdawali sobie sprawę, że trzeba strzelać ale trochę wyżej. Ale strzelanie było na vis à vis. A to, że ujawniliśmy miejsce pobytu, że mogło dojść do wypadku, to było skandaliczne. Jak "Jurand" tylko wrócił, z miejsca dostał meldunek o tym co się działo, od kogo, oczywiście nie wiem, miał przecież swoich ludzi. Jaka była rozmowa z "Wilczurem"-to tylko nas doszły pewne słuchy. Podobno strasznie go tam zwymyślał i ukarał w jakiś sposób, o czym żołnierze szeregowi nie musieli wiedzieć i nie wiedzieli. Natomiast został wydany oficjalny rozkaz, nie za pijaństwo, a za picie wódki w oddziale, jest kara śmierci. Autentycznie kara śmierci. Czego przykładem było, że w niedługim czasie zastosowano w praktyce, w dwóch przypadkach zostali rozstrzelani koledzy.

Kończy się luty, jesteśmy na patrolu, wysyła nas "Jurand" czy "Wilczur", dziś już nie pamiętam. Jedziemy we trójkę. Dowódcą drużyny jest "Kuna", zmarł w zeszłym roku w Łodzi, przedwojenny podoficer - kapral. Ja jestem w tym patrolu, jest "Wiś", ten mój kolega Włodek. Jedziemy sankami w celu nawiązania łączności z sąsiadującą z nami Brygadą Błyskawicy - Piotra. Ta brygada została później rozparcelowana, częściowo wchłonięta przez VI Brygadę, a częściowo przez naszą. Zniknęła z horyzontu ta Brygada nie figuruje już w rejestrze brygad. Wtedy nazywała się Brygadą Błyskawicy. Podjechaliśmy tam, mieliśmy podany kierunek gdzie mieliśmy się zjawić. Było małe zaskoczenie ponieważ wartownicy, którzy nas zatrzymali byli ubrani w rosyjskie hełmy i rosyjskie kufajki, więc myśleliśmy, że

że trafiliśmy do towarzyszy. Okazało się, że z jakichś względów ten jeden z plutonów "Błyskawicy" tak właśnie był ubrany. Weszliśmy do środka we trójkę. "Kuna" meldował, my z tyłu. "Błyskawica", człowiek, jak mi się wydaje, w wieku lat 45, łysawy, raczej niskiego wzrostu, w kożuszku, w butach z cholewami. W ogóle, trochę o wyglądzie wiejskiego księdza. Napisał kilka zdań, czy też miał już to przygotowane, bo wiedział, że my przyjedziemy, skąd, tego nie wiem. I tylko pamiętam co on mówił do "Kuny", bo mówił do niego, myśmy stali prawie przy drzwiach: tutaj macie wszystko napisane co macie przekazać dowódcy, a niezależnie od tego, gdybyście zgubili, wszystko może się zdarzyć, my zaczynamy akcję jutro o świcie, jak tylko słońce wzejdzie. To była zima, bo marzec to jeszcze zima, więc godzina 7, to chyba najwcześniej wschodziło, a punkt zborny jest - tu określił miejscowość, gdzie mieliśmy się skoncentrować, której już nie pamiętam. Wynikało z tego, że proponował nam wspólną akcję. Nie wiem czy to wynikało z tego pisma, któreśmy przekazali dowódcy po powrocie czy z czego innego, że tylko jeden pluton został wyznaczony od nas, w którym zresztą ja byłem pod dowództwem "Czarnego". To był zawodowy sierżant przedwojenny, bokser. Mieszkał w Mielcu, zmarł jakieś 5 lat temu, nazwisko Piątek. Oczywiście wtedy nazwiska nie znałem, tylko pseudonim "Czarny". Miał mausera do drewnianej kolby chowanego, dziesięciostrzałowego, na pociski, które pasowały od pepeszy. To jest ten dziwoląg polegający na tym, że Rosjanie zerznęli stare mauserowskie pociski do pepeszy i do TT. Bo już te mausery, które znamy wszyscy z filmów, te stare także nakładane na kolbę drewnianą z magazynkiem z przodu czy też ładowane z "łódki", one właśnie mają tę amunicję a przecież one są z I wojny światowej, mają tę amunicję, którą do dziś się używa do pepeszy i do TT-nek. A więc stara, zaadaptowana amunicja amuserowska z czasów I wojny światowej. Pepesza i Mauser z długą kolbą miały tę samą amunicję, iden-

tyczną tylko on wyglądał tak bo był długi ale amunicja była krótka, zresztą o tym świadczy jego magazynek, który jest stosunkowo nierozbudowany, wąski i z łódki się ładowało.. Właśnie to było śmieszne, odciągało się długi zamek, suwadło blokowało i łódka, która zawierała 10 sztuk amunicji, palcem się wtykało. Łódeczka na 10 szt. amunicji typu "pepesza" tylko do Mausera na kolbę, taki zupełny dziwoląg. Właśnie taki pistolet miał "Czarny", pamiętam, bo w tej akcji tym pistoletem pruć. To była akcja organizowana rzekomo z udziałem plutonu "Łupaszki". Był jakiś trzeci pluton bo z trzech stron otaczaliśmy wieś, z czwartej było jezioro. Akcja była organizowana w miejscowości Majerańce koło jezior Dubińskich i to był dzień 1 marca. Tę całą wieś zajmowała rabunkowa banda pod dowództwem Barobki. Byli zaopatrzeni w broń rosyjską, nową amunicję. Dla nas to była banda, bo sowieckie oddziały na tym terenie zachowywały się dokładnie tak jak bandy. Wozy, któreśmy zdobyli po akcji były załadowane poza amunicją jedzeniem, normalnie rabunkiem, czyli sukienki damskie itd. Po co to w partyzanetce jest potrzebne? Ja domniemywam, że to był oddział partyzantki sowieckiej, ponieważ przy "Barobce", któregośmy mieli we dwójkę, tak nam "Jurand" polecił akuratę oczyścić, jako, że został zabity. Miał 7 dziur. Policzyliśmy, siódma, przez mapnik. Właśnie z mapnika wyjęliśmy pokrwawione papiery, które natychmiast dostarczyliśmy "Jurandowi", bo były wezwania, nakazy mobilizacyjne dla ludzi. Myśmy stali z boku ale "Jurand" z "Wilkiem" i z "Czarnym" rozmawiali, na ten temat. To były nakazy na których było napisane.. "w imieniu Sowitskowo Sojuza zobowiązuję was do stawienia się w miejscowości: .../do wpisania/.. w dniu: .. /do wpisania/... celem wstąpienia do oddziału takiego a takiego..". Po tych papierach sądząc był to regularny oddział partyzantki sowieckiej, natomiast po tym cośmy na wozach znaleźli, doszliśmy do wniosku, że to bandziorka normalna. Bo do dziś dnia

nie rozumiem po co tam ubrania damskie były, skoro nawet kobiet nie było. Po co nowe sukienki, kapy z łóżek, jakieś inne rzeczy poupychane po tych worach, z majątków zrabowane. Może wysyłali samolotami do siebie, nie mam pojęcia. Amunicja, którą z wozów zabraliśmy była świeżutka, dosłownie tak jakby zrzucona. To był chyba normalny, regularny oddział z łącznością z tzw. "wielką ziemią" bo skąd mieli by tę amunicję, a wykaz wskazuje, że to była zrzutowa broń współczesna.

Uzbrojeni byli generalnie w automaty, mieli tylko jeden lub dwa Diegtiarowy i PTR, tę przeciwtankową rusznicę. Myśmy początkowo potraktowali to jako armatkę bo to trochę głośno pukało. Myśmy myśleli, że jakąś armatkę mają. Otoczyliśmy ich z trzech stron, jak już powiedziałem, z czwartej jezioro. "Błyskawica" była z prawej a na wprost jak gdyby nas ale to było w dole, więc nie strzelaliśmy do siebie, tylko w dół, bo my na wzgórzach a wieś w dole - tam miał być ten pluton "Łupaszki". Mówię - miał być - ponieważ nigdy nie sprawdziłem tego, mówię z reakcji, ponieważ po akcji jakieśmy się zebrałi to później była zbiórka, zabieranie rzeczy i później odmaszerować i koniec. A koncentracja, jak była, ta w nocy, gdzieśmy szli od razu po powrocie z patrolu, jakieś kilkanaście kilometrów trzeba było przejść, była w takiej olbrzymiej szkole, gdzie dosłownie wszyscy sobie na głowie siedzieli, nie było mowy o wyciągnięciu się. Tam było miejsce zgrupowania i tylko tam spotkałem ludzi z "Błyskawicy". Z tego wynika, że trzeci pluton musiał być gdzie indziej skoncentrowany, ale prowadził ogień. Myśmy zaczęli prowadzić ogień, te dwa plutony naprzeciw siebie. "Błyskawica" później się włączyła bo oni mieli jeszcze kawałek do przejścia i myśmy chyba za wcześnie

Sytuacja wyglądała następująco: ponieważ myśmy byli, mówię o swoim plutonie, jak zresztą "Błyskawica", którą widziałem, uzbrojeni ge-

neralnie w długą broń. Automaty właściwie mieli dowódcy drużyn i poniektórzy. W zasadzie długa broń, między innymi dziesięciostrzałówki też. Wtedy my nie mieliśmy broni maszynowej w sensie karabinów maszynowych. Natomiast oni mają ten Rkm Diegtiarow, nas tym Rkm-em trochę przytrzymali ale zorientowaliśmy się po śniegu, bo śnieg był sypki i czyścutki, że serie z pozostałej broni, pociski padają grubo, grubo przed nami, my byliśmy w odległości 500 do 600 metrów od wsi. Do tego doszło, że koledzy na stojąco strzelali a niektórzy na klęcząco, prawie nikt nie leżał. Bo praktycznie biorąc poza tym rkm-em, który trochę pomacał, musiał jeszcze obsługiwać drugą stronę też, od strony "Błyskawicy" bo ten drugi rkm był, zdaje się, na "Łupaszkę". Tak się rozzuchwalili, bo dla większości to był pierwszy większy ogień. Na początku wszyscy zalegli bo tyle ognia stamtąd. A potem jak się zorientowali, że śnieg się podrywa od pocisków ppsz-y w odległości 100 m. od nich a od nas 200 czy 300 m - to nie było żadnego problemu. W ten sposób doszło do tego, że poza jednym rannym, pseudonim "Czołg", u nas, właściwie do dziś nie wiadomo czy jego ktoś postrzelił czy przez niuwagę sam się postrzelił, u nas nikt nie był rażony ani raniony. Natomiast stopniowo zaczęliśmy się zbliżać schodzący z tych górów ale wszyscy wiedzieli, że trzeba iść tylko tak blisko, żeby te ppsz-e nie sięgały. I ci, którzy byli schowani za drzewami, za domami bronili się dłużej, ci którzy zajęli stanowiska obronne, mam na myśli broniących się w polu, bo wylegli na samym początku, ci zostali załatwieni zupełnie, bo oni już nie mogli się wycofać, a jednicześnie do nich ...

Z czego to wynikało. Po akcji podchodząc widzieliśmy, że niektórzy byli pięć, cztero, trzekrotnie trafieni, to znaczy ktoś od nas strzelał nie wiedząc czy ten czarny punkcik, który leży jeszcze strzela czy też nie, no to na wszelki wypadek do niego strzelał. Okazało się, że ich było około 120 ale ta grupa, która strzelała

tylko trzydziestu kilku. Oni zajęli obronę a reszta czyli około 80 wycofywała się przez jezioro. Przy czym jezioro było pozornie zamrznięte, właściwie już częściowo odtajało. Tak, że jak my doszliśmy do wsi i wreszcie do jeziora, to było widać, że co pewien czas kry się przewracają, pękają i to całe towarzystwo, które poszło na jezioro nie przeszło go. Wszyscy poszli na dno. Tak, że praktycznie biorąc było trzech żywych: jeden Mongoł, jeden Żyd i jeden Polak. Nawet takie pytanie padło ze strony któregoś z kolegów a co ty tu robisz? On powiedział: każdy wybiera to co mu odpowiada. Tak dokładnie odpowiedział. Dokładnie to pamiętam. Nie było świadka zagełady oddziału poza mieszkańcami wsi, która zresztą była mała, to była osada. Co nie przeszkadza, że w roku 1946, kiedy siedziałem, szef informacji, p. kapitan Morozow, nazwisko wskazuje, jak rdzenny Polak, mówiący tylko w języku rosyjskim, nawet nie usiłował mówić po polsku. Nawet jak doszli do tego, że ja jestem z I Brygady to mi Majerańce wypomniał. Tak, że skądś tam informacja poszła. Efekt - 90 % stanu osłaniającej grupy - zabici, bo trzech zostało z tych 30, reszta w jeziorze potopiona. Straty własne - jeden ranny "Czołg".

Krótko po tej akcji jesteśmy świadkami poświęcenia sztandaru "Błyskawicy" w miejscowości Suderwa. Widocznie dowódcy już porozumieli się bo jesteśmy i my i oni. Poczet sztandarowy wchodzi do kościoła. Wszędzie obstawa. Rkm-y już były, zresztą po tej akcji znalazły się między innymi. Oni wchodzić czwórkami, my po nich. Oczywiście ta grupa, która mogła wejść. Ubezpieczenie było bardzo duże bo to miasteczko. Praktycznie połowa stanu brygady, "wielkiej brygady" - nas raptem wówczas było 60 - 70, na ubezpieczeniu. Tak i oni i my ubezpieczamy. Bardzo ładna uroczystość bo i ksiądz i poświęcenie sztandaru, nie wiem dlaczego koloru zielonego. Być może widziałem ten płat z jednej strony. W oczach mi został zielony sztandar. Przemó-

mówienia. To był nasz pierwszy kontakt z ludnością, my w jakichś mundurach, z bronią. To było dla mnie duże przeżycie, widzą nas jako żołnierzy, bo tak tośmy w chutorach, wsiach przebywali, a tu - miasteczko. A my, to już polska inteligencja, patrioci polscy ze sztandarami, jakimiś chorągiewkami itd. w tamtejszym kościele. Z tej racji odbyła się również wspólna defilada główną ulicą miasteczka.

Teraz koniec marca - początek kwietnia. Już wtedy miałam kłopoty z datami, kalendarza człowiek nie nosił. Dopiero tą Wielkanocą się operowało, przed Wielkanocą, po Wielkanocy. Za pijaństwo w czasie służby, a właściwie za bezpodstawne przetrzymanie łącznika, nie pamiętam z której brygady czy z "Błyskawicy" czy z "Naroczy" czy skądś, łącznika - oficera. Z naszej drużyny pratyżant pseudonim "Niedźwiedź", nazwiska nie znam, został właściwie nie rozstrzelany a zastrzelony. Wyglądało to w ten sposób, że "Niedźwiedź" poszedł na posterunek. Miał jakąś maniereczkę a był przecież ten rozkaz, że nie wolno pić wódki. Za to kara śmierci. Tę manierkę widocznie obciągnął skutecznie. W pewnym momencie nadjechały saneczki, bo on gdzieś przy drodze miał posterunek. Zatrzymały się, hasło tamten mu podał. "niedźwiedź" już na tyle był wlany, że albo pomylił albo zapomniał to hasło, doszedł do wniosku, że najlepiej było do śniegu go władować. Kazał mu się położyć i do zmiany tamten w śniegu leżał. Było dość zimno, trzeba powiedzieć. Do zmiany była godzina czy 40 minut. W każdym razie później "Niedźwiedzia" zmieniono. Wrócił do chałupy, w której kwaterowali i niezgodnie z rozkazem, bo rozkaz pozwalał spać tylko na podłodze, położył się na wiejskie łóżko, właściwie a la kanapę. Tam zasnął. Krótco po tym, za jakąś godzinę, przyszedł "Borsuk" z żandarmerii, to był przedwojenny policjant. Zapytał, który to "Niedźwiedź", dowódca drużyny "Kuna" pokazał. Nie pamiętam dokładnie, "Kuna" chyba

już nie był dowódcą drużyny. Policjant szarpnął "Niedźwiedzia", podniósł go, ten się obudził. Chodźcie ze mną - wyprowadził go na podwórze. Myśmy podeszli do okna ciekawi co będzie dalej. On normalnie wyjął parabellum, to dokładnie pamiętam, i po prostu strzelił na wprost, prosto w pierś. "Niedźwiedź" zwałił się na podwórzu. On schował pistolet i poszedł. To było szokujące, bo wiedzieliśmy, że może być karą ale nie przypuszczaliśmy, że aż w taki sposób może się zrealizować. Chyba to była aż samowola "Borsuka" w tym sensie, że rozkaz był, wyrok był ale miało to odbyć się inaczej, a on sobie to "w biegu" załatwił. Później mieliśmy relacje, że "Borsuk" był za to karany. To była kara dyscyplinarna, jaka, dokładnie nie wiem. Mówiło się, że "Borsuk" dostał po skórze za to, że tak załatwił "Niedźwiedzia". Miało to widoczenie wyglądać inaczej. Jak powiadam, nie byłem ani w sztabie ani przy sztabie i nie mogę tu nic improwizować jak to miało wyglądać.

Mniej więcej w tym samym czasie, też gdzieś na początku kwietnia się kontrwywiad brygady, bo był taki oficer informacyjny, oświatowy - Bej. Podobno nawet w stopniu kapitana ale dowódcą brygady był jednak porucznik Gronczewski czyli "Jurand", a on był przy sztabie. Staszy człowiek, zresztą czy starszy, miał wtedy może ze 40 lat. Dla nas to był bardzo stary, a jego córka "Pączek" do końca była u nas sanitariuszką. Mieszka we Wrocławiu na zjazdy przyjeżdżała. Teraz akurat nie była. Nie wiedziałem, że "Bej" jest ojcem "Pączka", po wojnie się dowiedziałem.

Mieliśmy służbę wartowniczą a więc zgromadzeni w jakiejś chałupie przy skraju wsi, nasz pluton, czy nasza drużyna. W pewnym momencie któryś z żandarmerii, żandarmeria już wcześniej została zorganizowana, miała żółte opaski na prawym rękawie, my biało-czerwone na lewym, a oni i biało-czerwone i żółte na prawym. Na początku nosili te opaski, widocznie żebyśmy się przyzwyczaili kto jest z żandar

merii. Później przestali je nosić.

Szeft żandarmerii przyprowadził do drużyny wartowniczej - o macie tu "Rewolwera". On będzie tutaj z wami do rana. Bez broni, bez pasa, nie wiadomo o co chodzi. On też nie wie. Kazali mu tu przyjść. Po czym rano wymarsz. Idziemy takim niskim laskiem, śnieg jeszcze naokoło, pamiętam to dokładnie. Po lewej stronie wysoki las a tu taki niski, polanka. W pewnym momencie: "Czoło stój, stawaj w prawo"! Stanęliśmy wtedy w dwuszeregu. Automatycznie dwuszerego się stworzył bośmy szli dwoma rzędami. I tutaj różnica jest w relacjach pozornie drobna rzecz ale w sumie jak zawodna jest ludzka pamięć. Po latach, na spotkaniu w Wełtyniu, bo takie spotkania odbywają się na wyspie Wełtyń pod Szczecinem byłych Kresowych Żołnierzy Armii Krajowej pod egidą tego Klubu byłych Kresowych Żołnierzy AK. Mam odznakę tego Klubu.

Kiedys w Wełtyniu wróciliśmy do sprawy "Rewolwera" i rozmawiam z "Sępem", jednym z naszej brygady. Ja mówię, czy pamiętasz jak "Rewolwera" wtedy rozwalili, jak "Bej" odczytywał ten rozkaz. On mówi przecież to "Jurand" odczytywał ten rozkaz. Ja mówię, stary, ja "Beja" widzę w tym rozpiętym płaszczu, tak jakoś pas miał na mundurze, a płaszcz bez pasa. Stoi, trzyma tę kartkę, a ty będziesz mi mówił, że to "Jurand". No i właściwie do niczego nie doszliśmy. On z uporem, że "Jurand", ja z uporem, że "Bej", do momentu aż nie włączył się do dyskusji "Pirat", mieszka w Zgorzelcu, który przysłuchując zaczął się uśmiechać, tak jakoś kaprawo. Ja mówię, dlaczego się .miejesz? On mówi, stary, bo wy tak gadacie jak ślepy o kolorach, a niby dlaczego? A wiesz, kto był w tej dwójce, która rozwalala "Rewolwera"? Nie wiem, nie pamiętam. No, przecież ja byłem. Ach tak, no możliwe. Tó chyba ja najlepiej wiem kto odczytywał rozkaz. No kto? - "Wilczuś". No i proszę bardzo okazało się, że według pamięci "Sępa" to "Jurand", ja w oczach widzę "Beja" a "Pirat",

chyba autorytatywnie bo był w dwójkę, która rozwalala, twierdzi, że wszystko od początku do końca odczytywał "Wilczur". Przyjąłem, że moja pamięć jest zawodna.

Wracając do sytuacji. To wyglądało strasznie bo pierwszy raz przeżywałem taką rzecz. Odczytuje, nie to będzie, że "Wilczur", dla mnie to i tak ciągle /Bej". Partyzant "Rewolwer" wystąpił. I on wystąpił. Wasze nazwisko. On wymienił - chyba Kozłowski. I wtedy odczytano wyrok. Na mocy wyroku Sądu Brygady na szpiegostwo na rzecz Litwy i Niemiec, tak to chyba było sformułowane, przynajmniej tak mi w pamięci zostało, zostajecie skazani na rozstrzelanie. Jakie jest ostatecznie wasze życzenie? Zobaczyć się z żoną. Dla mnie życzenie nie do spełnienia odpowiada "Bej", według "pirata" "Wilczur" i wtedy, tak mi się wydaje, "Jurand" mówił, porucznik "Wilczur" wykonać rozkaz. Dwóch ludzi z Trzeciego plutonu: po buty i kozuch, to na pewno padły te słowa. Dwóch ludzi z drugiego plutonu - po kozuch i buty, bo już wiadomo było, że jak on dostanie, to już tam zostanie, a buty i kozuch, to byłyby szkoda - to zapamiętałem. I on ten "Rewolwer" też słyszał, że wszyscy słyszeli. I od razu Brygada w lewo zwrot, maszerować. Myśmy już odchodzili, oni go wygarnęli i tylko było słychać dwa strzały. Już nie na naszych oczach. Prerażające było to jak ten człowiek słyszał, że dwóch ludzi z trzeciego plutonu po kozuch i buty. To mi utkwilo w pamięci jako jakieś okrutne powiedziałbym, bo przecież można to było nawet po cichu powiedzieć. "Rewolwer" nie mówił nic, że niewinny. Albo był tak zupełnie załamany albo był winny. Chyba niewinny człowiek by jakoś inaczej reagował. Żadne słowo nie padło od niego, poza tym, że chce się z żoną zobaczyć. To z takich wydarzeń, które się trafiały.

W kwietniu "Ryś" kadet ze szkoły Lwowskiej, kapral, jeszcze nie był był moim dowódcą, jedzie do Wilna w jakimś celu i pyta - kto

ma listy do rodziny to zabiorę i wrzucę na jakiejś poczcie. Chciało się dać znać do domu, że się żyje. Poczt za dużo nie było więc w Wilnie wrzucone listy szybciej dojdą do rodzin. Okazało się, że pod Wilnem Litwini go zatrzymali, rewidowali. Pistolet zdążył wepchnąć między deski czy w siano a mimo to zabrali go ze sobą, może z powodu wyglądu, po ubiorze. Byliśmy na tyle naiwni, że chodziliśmy w butach z cholewami, w bryczesach. Zabrali go ze sobą i wszyscy byliśmy przekonani, że listy wpadły /razem z nim/. No więc jeśli listy wpadły razem z nim, bo tylko mieliśmy meldunek od drugiego, który go pilotował z daleka - stąd był meldunek, że go zabrali, to znaczy, że Niemcy będą mieli adresy naszych rodziców. Mimo, że w listach pisało się oględnie, czuję dobrze, jestem zdrowy, nie martw się o mnie, to znaleziona przy nim paczka listów sprawę rozwiązywała /przesądzała/. Ja wtedy tak bardzo się zdenerwowałem, jak tamten za parę dni wrócił, że dostałem żółtaczki. Dostałem autentycznie żółtaczki. Stwierdził to lekarz Brygady. Żółtaczkę trzeba leczyć leżąc. Nie można chodzić z żółtaczką. A to akurat zbliżała się Wielkanoc. I wtedy poprosiłem o zgodę na odchorowanie w domu rodziców a nie tu gdzieś na melinie. A byliśmy jakieś 40 km od tego miejsca, wozem przejechać to nie problem, potrzeba 3-4 godzin. Dowódca się zgodził i pojechałem. Oczywiście musiałem oddać broń. To, że chciałem tam być to był jednocześnie mój genialny pomysł. Jeśli teraz przyjdą Niemcy i powiedzą - syn w partyzantce, jak to w partyzntce? - jest w domu, a drugiego syna nie ma bo nie miałem przecież brata. Byłem idiotą bo przecież by wystarczyło popytać innych ludzi w pobliżu a zawsze mógł znaleźć się ktoś uprzejmy, kto powiedzieć mógł: tak teraz to on tu jest od paru dni ale od 4 miesięcy czy o pół roku czy dłużej nawet to go tu w okolicy nie było. To była taka moja kretyńska samobrona w stosunku do rodziców. Myślałem, że jak będę z tą żół-

taczką to /im pomogę/. Leżałem, chorowałem na żółtaczkę trzy tygodnie. Po wyleczeniu żółtaczki, a trwało to parę tygodni, dwa, trzy, chciałem ~~wrócić~~ ^{trafić} do Brygady. Przecież jak odchodziłem z Brygady to nawet nie próbowałem zapytać się gdzie będziecie za 3 tygodnie, bo po pierwsze nie wiedziałem kiedy wrócę a poza tym nikt by mi tego nie powiedział, choćby nawet dowódca wiedział, to przecież takich rzeczy się nie mówi. Jak świetnie i dla mnie niezrozumiale zupełnie i do dziś i niegdy tego nie zrozumie działająca łączność konspiracyjna na tamtych terenach gdzie w ogóle łączność była rzadkością. Gdzieś tam na jakiejś poczcie, w jakimś majątku był telefonik i co dalej. Nie było żadnej łączności radiowej między konspiracją a Brygadami. To nie istniało. Wystarczyło, że ja zapytałem ojca, powiedziałem: przecież ty tu jesteś w siatce, no jestem, no to idź do komendanta siatki i dowiedz się gdzie może być moja Brygada. Dzisiaj bym tak nie zapytał. A wtedy byłem tak głupi, tak wierzyłem, i słusznie, że jest tak idealna organizacja, iż mimo tego, że moja Brygada była gdzieś w dalekich chaszcach, kasach to uda mi się do niej wrócić. Komendant siatki odpowiedział ojcu, że za 3 dni da mi wiadomość gdzie mam się zjawić żeby dojść do Brygady. I rzeczywiście za 3 dni dostałem informację - że mam się stawić w Bujwidach, u "Marka". Tam jest grupa, która oczekuje na dojście do Brygady. Tam dojechałem. Okazało się, że był tam "Ptasznik", nasz dowódca kawalerii ranny w brodę, późniejszy dowódca oddziału osłownego zgrupowania. Był jeszcze ktoś z urlopu, dwóch z UBK - Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, którzy zaplątali się po akcji gdzieś pod Szumskiem. To całe towarzystwo dostało broń i kierunek, że Brygada znajduje się w rejonie Turgiel, okolice Szczerbca. Chyba 80 km jechaliśmy wozami przez 3 noce. Gdzieś spaliśmy, odczekiwaliśmy, za mała grupka, przez jedną szosę, przez drugą, przez torry i idealnie trafiliśmy do Brygady.

Ja tego nigdy nie zrozumieć, nie mówię tego prowokacyjnie ale wiem jakie tam były systemy łączności - na koniu, na rowerze. I skąd taki szeregowy dowódca siatki, to jest szczebel powiedzmy plutonowego w małym miasteczku, potrafił nakierować mnie bym trafił do brygady partyzanckiej, która przecież chowała się przed Niemcami.

Wracam do chronologii.

To było jeszcze w miesiącu kwietniu lub pod koniec marca, przed Wielkanocą. Byliśmy w rejonie byłej granicy polsko-litewskiej, na północy. Marsze były makabryczne i to dobijało mnie najwięcej. W sumie razem w partyzantce najbardziej mnie męczyło, dobijało i najbardziej mi się utrwaliło to te kilometry, wszy i pragnienie. Pragnienie wynikało chyba z gorączki, którą większość z nas stale miała. Gorączka być może to były tyfusy, które się nie ujawniły, nie wiem jak to nazwać bo wszy mieliśmy setki ale to dosłownie setki. To znaczy gdy się sięgało wyciągało całą garść wzdłuż szwów spodni. Tłukło się niemieckim handgranatem, tłukło na jakimś kawałku drewna i później wygarniało ręką całą baterię. Setki wszy powodowały tę jakąś gorączkę. To nie było 5 wesz, 20 , to było kilkaset wesz na człowieka. To mi się utrwaliło jako coś co mnie najbardziej odpychało od oddziału. Te marsze potworne, bo "Jurand" stosował takie przerzuty, że najkrótszy marsz, to było 30 km. A marsze 40 i 50 kilometrowe to wcale nie były rzadkością. Tak, że jak miałem w późniejszym okresie przejść 60 km i to szybko, bo właśnie musiałem się z Wilna zlikwidować, to już było po zmianie władz, to te 60 km bezproblemowo przeszedłem z Wilna do Wodnia. Miałem dobry trening. Jednolitość jedzenia. W kółko kasza z kotła z tym mięsem i kawałek chleba ze słoniną. To tylko czasem, gdzieś w jakimś mająteczku troszeczkę śmietany, kawałek ciasta, ale to były już wyjątki.

Wracam do kwietnia. Dokończę Antokolce. Byliśmy pod granicą litewską. Szliśmy marszem całą noc. Nad ranem wchodzimy do wsi. Jest już

ciepło, jest błoto, więc to musiał być początek kwietnia, bośmy grzęźli w błocie nie od deszczu a od roztopów. I widać po drugiej stronie, tak na 2 km, półtora, druga równoległa wieś się ciągnie ale na wzgórzach, a ta wieś tu w dolinie. My wchodzimy do wsi, tu zostajemy na odpoczynek. Szybko wyznaczono pluton dyżurny, pluton wartowniczy to błyskawicznie się odbywało. Kwatermistrz, szef brygady tak zwany Mieczysław Palcenko, pseudonim "Strug", zginął 13 lipca 44 roku razem z "Jurandem" prawie w tej samej minucie pod Nowosiólkami, po prostu wskazywał od razu, prawie palcem trzeci pluton tu, ten tu, od razu rozdzielał gdzie kto śpi. Mieliśmy w dzień spać. To był strasznie męczący marsz tak, że ja nie czekałem nawet na rozłożenie słomy, ktoś poszedł po snopek. W wileńskich domach wzdłuż ścian ciągnęły się ławy, często w takim trójkącie, pod jedną i pod drugą ścianą. Ja na tę ławę, na tę dechę się rzuciłem i momentalnie zasnąłem. Podłożyłem sobie tylko chlebak pod głowę i zasnąłem. Nie czekałem aż tę słomę przyniosą. Coś mnie budzi, ktoś mnie szarpie za ramię - styry alarm! Oczywiście zrywam się. Dookoła gwizdzą pociski. Jak się okazało, w tym czasie kiedy myśmy weszli do wsi do tamtej drugiej wjechała kolumna litewska Prehabitusów, tych Litwinów w służbie niemieckiej. Nazywano ich często litewskim SS ale to nie było SS, to były normalne oddziały generała ^{Pledaviciusa} Prehabitusa, z tym, że mieli napisane ^{Lifanov} "Tauen" na niemieckich mundurach i mieli żółto-czerwono-zielone tarczki i oni tam wjechali na wozach z bfonią maszynową i musieli nas zobaczyć. Próbowali prawdopodobnie rozłożyć sobie jakąś linię żeby nas skutecznie zaatakować ale w tym czasie "Jurand", który zawsze był bardzo ostrożny i dzięki temu mieliśmy tak mało strat bo poza postarunkami i czujkami, które były wysyłane do przodu, do tyłu na różne punkty charakterystyczne wysyłał również ronty konne w kawalerii. I w tym momencie kiedy Litwini się szykowali jakby do uderzenia na nas

z góry to konny ront, który objeżdżał boczną polną drogę, bo w konieczynkę jeździli akurat od wsi wjechał do tamtej wsi Litwinów. To znaczy oni się tu szykowali żeby nas teraz załatwić a nasza sekcja czy dwie sekcje kawalerii nagle im prawie na plecy wjechała. Musieli się oczywiście odwrócić, strzelać do tej kawalerii a jednocześnie nasi popędzili konie i zniknęli, przecież wiedzieli, że nie dadzą rady. Ale tym jak gdyby sprowokowali, że Litwini wcześniej zaczęli strzelać niż gdyby planowe natarcie zrobili na nas. I wtedy nasze ubezpieczenie zaczęło odpowiadać od razu. Wtedy od razu zbiórka za chałupami, bo jeśli stąd strzelają, to można z tej strony chałupy się zebrać. Zbiórka za stodołami. Wydzielony jeden pluton mój, do zajęcia stanowisk obronnych i prowadzenia ognia. Reszta - wycofywać się w kierunku do lasu za wsią. Ktoś mnie później zluzował, nie wiem czy cały pluton czy tylko mnie. Wiem, że na początku strzelałem. Nawet "Jurand" chodził między nami mówiąc, uważajcie, strzelajcie celnie bo nie mamy tu wozów z amunicją. Bo wozy z amunicją były w drugiej wsi. Tutaj spała część. Nawet kawaleria w drugiej wsi miała spać, wiocha była po prostu za mała. I chodził, to było autentyczne. Myśmy leżeli i strzelali a on chodził między nami. To była taka mała fanfaronada ale to grało na wyobraźni żołnierza niesamowicie, co to znaczy, oni strzelają a tutaj dowódca chodzi. Ale później ktoś musiał mnie zluzować bo pamiętam, że znalazłem się za stodołami. Tam jeszcze strzelali. Nie wiem czy całą drużynę zmienili, nie pamiętam tego. Dość, że ja też idę, tym rojem idziemy, karabinę wlokę kolbą po błocie. Była bieganina, zmęczenie, gorąco, słońce świeci, to błoto, nogi grzęzły i pierwsze 200 - 300 - 500 metrów to kryły chałupy ale jakeśmy mieli dojść do lasu to pociski, które leciały z górki to już pręły tu ~~tak-słabo~~ z tym, że pociski już tak słabo donosiły, że nawet jeden z kolegów idących obok mnie "Mrok" /umarł teraz niedawno w Olszty-

nie/ mówi: oj tak ładnie mi się tu zawinał w błocie, to go na pamiętkę wezmę. I normalny pocisk z błota wyciągnął i schował sobie do kieszeni. i szliśmy dalej. A tymczasem "Jurand" już dał rozkaz, że kawaleria z drugiej wsi, o czym Litwini nie wiedzieli, rozdzieliła się na dwa półszwadrony i z dwóch stron zaatakowała ich od góry. Na i jak zaczęli pięknie spieprzać, przepraszam za sformułowanie, to aż się kurzyło. Myśmy już nie zdążyli, już byliśmy zbyt zmęczeni, za dużo tego błota było i pod górkę. Tak, że jak nam polecono, w tył zwrot! i na wieś z powrotem to gdy myśmy dobiegli, to już były ich resztki, zabici, ranni, wozy, które zostały. A Litwini, którzy zdołali załadować się na wozy i przez pola kawaleria ich pogoniła, wróciła gdzieś po godzinie czasu. Myśmy już odpoczywali na nowo w tej samej wsi. Myśmy leżeli gdy kawaleria wróciła po "przetrzepaniu" ich. Nie znam wyniku, nie zapamiętałem. Nie wiem ilu było zabitych, mówiąc szczerze, byłem tak skonanym, że mogłem tylko z późniejszych relacji czegoś się dowiedzieć. Ale nie potrafię dziś powiedzieć czy Litwinów było 15 czy 20. Ja widziałem 2 - 3 na takim płocie, zwiśniętych takich, powiedzmy, zabitych. Jeden ranny leżał jakiegoś doszli do tej wsi gdzie Litwini byli. Ale ilu ich tam kawaleria załatwiła czy mało czy dużo, czy zdążyli uciec, tego nie potrafię dziś powiedzieć. Na pewno wtedy wiedziałem, teraz nie mogę sobie przypomnieć. Co robiono z jeńcami i rannymi?, Czy była reguła jakaś?. Jeśli chodzi o Niemców, żołnierzy Wehrmachtu, to jeńców puszczano wolno. Trafiło się, mieliśmy dwukrotnie do czynienia z SD czy SS, w każdym razie mieli mundury z trupią główką. Tego SS akurat nie pamiętam. W każdym razie oficer i podoficer zostali rozwaleni. Trzech z nich, Niemców, po kolei dołączyło do nas, do Brygady. Później okazało się, że to byli Ślązacy ale przecież brali udział w walce przeciwko nam.

Przy rozstrzeliwaniu Litwinów nie byłem ale wiem, że po akcji pod

Lawaryszkami, jak ich tam paru mieliśmy, to zostali rozwaleni.

Nie widziałem, dlatego nie mówię. Podobno zostali rozwaleni. Być może powodem potraktowania ich na równi z SD były lokalne antagonizmy jakie były między nami a Litwinami. Bo dziś się mówi, że Ukraińcy byli tacy straszni i oczywiście byli. Ale Litwini również dobrą szkołę nam dawali. Na pewno nie w taki sposób jak Ukraińcy, nie słyszałem o takich wypadkach ćwiartowania ludzi itd. Ale w tym okresie kiedy objęli Wilno, to przecież strajki szkolne, któreśmy robili to palowanie litewskie i więzienia, które były, to o Litwinach mieliśmy /wyrobione zdanie/. Dla nas Litwin to to samo co gestapo, w naszym, wtedy, wileńskim pojęciu.

Ale to /rozstrzelanie/ wynikało z czyjś rozkazu. Bez rozkazu to nie zdarzyłoby się.

Była słynna historia rozebrania oddziału w Murowanej Oszmiance. Krótco po tym rozwiązano tę formację wojskową, bo było to ośmieszenie totalne. Ale to nie było to wydarzenie.

Plehawitiusów rozebrała III i IV i chyba VIII Brygada. Każda przypisuje sobie wyłączone działanie. Przypuszczam, że jednak "Szczerbiec" to zrobił, mimo, że gdy czytałem historię VIII Brygady to oni się do tego przyznają i VI - też. Mowa jest zawsze o Murowanej Oszmiance, a Murowana Oszmianka jest położona na południowy wschód od Wilna, a akcja, którą przeprowadziliśmy to miała miejsce idealnie na północ od Wilna, prawie na granicy polsko - litewskiej Antokolce. Tam nie było rozbiórki Litwinów i puszczania ich luzem. Tam, była relacja, że tylu dostało. Nie potrafiłem sobie tego już nigdy odtworzyć. Wiem, że to dziwnie brzmi i jakby mi ktoś powiedział - jak to nie wiesz ilu było zabitych, nie wiem. Nie tylko z tej akcji nie wiem ilu było zabitych.

To pod Lawaryszkami jeńców puszczono wolno. Kazano im uciekać do lasu i wtedy z rkm-u ktoś ich podkosił, ale przecież nie z własnej

inicjatywy. Takie rzeczy u nas się nie zdarzały musiał być rozkaz. Droga dedukcji do tego dochodzę. Tak podobno było: uciekajcie do lasu, oni uciekali, wtedy puszczone po nich serię. No, być może był to czyjś wybryk bo i tak się zdarzało. Mieliśmy akcję, o której będą mówił, jeden się wyrwał, za wcześnie się wyrwał, miał później strzelać.

Tak to wyglądało pod Antokolcami. Pamiętam jak dziś. Jak mieliśmy robić zbiórkę za stodołami, w pierwszym momencie, dobrze to wypadło, bo stodoły były puste bo to wiosna, a pociski przelatywały, wylupywały drzazgi. A my tu robimy zbiórkę. Siostry "Jedyna" i "Pączek" były wtedy w oddziale, pamiętam. Tak w dwuszeregu stawały i jak gdyby chowały się jedna za drugą. Ktoś za kogoś chciał się schować bo te pociski tak przelatywały a nie wypadło się kłaść bo była zbiórka. Dziewczyny nie położyły się.

W miesiącu maju, ogólnie biorąc za pijaństwo, rozstrzelany, tym razem, został kapral "Lis". Znowu mam to szczęście, że to oscyluje koło mnie, bo w tym okresie akurat on był dowódcą drużyny. Zmieniaли się dowódcy drużyn, były reorganizacje. Kapral przedwojenny prowadzi nas na patrol. Gdzieś tam sobie chlapanął w jakiejś chałupenicy. Patrol ubezpieczeniowy, tzn, to były te patrole rontowe wysyłane przez dowódcę, które w formie takiej koniczynki zataczały wokół wsi żeby nas ktoś nie zaskoczył, jakieś większe zgrupowanie. A posterunki koło wsi stały normalnie łącznie z posterunkami żandarmerii, która z kolei pilnowała żeby kolegi nie chodzili na "bambiożkę" samodzielnie. A jak chodzili, przemykali się, bo ich swoi wartownicy przepuszczali, gdzieś tam z drugiego majątku bo tam nas nie ma to tam więcej żarcia, to jakieś może będzie ciasto, może coś dobrego. To wtedy żandarm udawał, że nie widzi, że się idzie, natomiast gdy się wracało to kiwał palcem i pytał czy ma zaprowadzić do dowódcy za samowolne oddalenie się od brygady czy...

i tu otwierał torbę i patrzył co w niej jest. Jeśli podziękował odpowiadał żandarmowi to wtedy puszczał spokojnie. Nawet w takich warunkach.

My szliśmy właśnie na patrol z "Lisem". On błyskawicznie gdzieś samogóńczyk wywachał, chlapanął. Jesteśmy znowu na takich wzgórkach, a droga w dole. I nagle na tej drodze widać jakieś przemieszczające się sylwetki z bronią, zdaje się, że w czarnych mundurach pancerniackich czy SS-owskich. Coś takiego, zupełnie rzadka rzecz w tamtych stronach. W każdym razie, któryś z naszych melduje "Lisowi", bo my jesteśmy przy chałupce, a tam posterunki są rozstawione w dół do tej drogi. To był taki odpoczynek tego patrolu. "Lis" wypada, ocenia sytuację bojową i natychmiast każe otwierać ogień. Celownik podaje. My się kładziemy gdzie tam kto mógł za jakąś osłoną. Strzelamy jak wariaci. Stamtąd żadnego strzału. No to "Lis" dochodzi do wniosku żeśmy ich wszystkich załatwili ale nie idziemy sprawdzić bo my nie idziemy w tę stronę. Więc znowu dalej pod górkę i tymi górkami wzdłuż trasy, którą mieliśmy nakazaną i wracamy tzw. listkiem koniczynki do tej wsi gdzie mieliśmy postój. "Lis" oczywiście idzie złożyć meldunek, wraca pełen dumy żeśmy akcję przeprowadzili żeśmy kogoś zlikwidowali. Brzmi to idiotycznie - dziś - jako oficer z tyloletnią wysługą to bym powiedział tak: stary, trzeba było sprawdzić, zobaczyć. Wtedy to było nieistotne. Dowódca tak kazał, idziemy, w porządku. I wszystko byłoby dobrze ale okazało się, że to był nasz patrol, naszej brygady, który szedł też tą samą trasą aby pójść w lewo, a my w prawo. Zobaczyli, że to my jesteśmy bo szli prawie za nami to nas widzieli. Kapnęli się że to nieporozumienie więc pochowali się do rowu, nie strzelali. Nikt nie był ranny, co nie przeszkadza, że złożyli meldunek dowódcy. Za dwie godziny "Lis" już został osądzony no ^o wyrok miała wykonać nasza drużyna. Podchorąży, nie pamiętam, chyba "Brzoza"

został wyznaczony na dowódcę plutonu egzekucyjnego i to odbywało się w większym porządku, nie tak jak z "Niedźwiedziem". Wyszliśmy kawałeczek za wieś. Lasek był może w odległości 500 metrów. Ota- czaliśmy go po prostu, nie trzymaliśmy broni w pogotowiu, przecież wiadomo. "Lis" spuścił głowę i szedł między nami. Szliśmy w kie- runku lasu a przed tym lasem była taka kępka brzoźek jeszcze od- dzielona. On w tym momencie się zatrzymał i powiedział: ja dalej nie pójdę, to tu. I panie podchorąży, ja proszę żeby ci gówniarze którzy koszule w zębach trzymali gdy ja już byłem żołnierzem, żeby oni do mnie nie strzelali tylko żeby pan to zrobił. I zaczął iść w kierunku drzewa, nieco grubszej brzoźki. Ale jednak podchorąży na nas kiwnął palcem i wszyscy razem strzeliliśmy, tak, że on nie zdążył się jeszcze odwrócić. To tak jakoś dziwnie wyglądało. Ja dalej nie szedłem, nie patrzyłem, nie wiem ja wiele dziur miał w ciele. Ja miałem do niego swoisty sentyment. Ja już chyba się od- wróciłem i szedłem z powrotem. Nie wiem czy to podchorąży podszedł do niego. Nie wiem kto go zakopywał. Nic już nie pamiętam z tam- tego wydarzenia. Ja oczywiście do niego strzelałem, z tym, że prawdopodobnie w niego nie celowałem. Tak sędzę. Wiem tylko, że podchorąży machnął nam ręką, nie słownie tylko ręką i tak strze- liliśmy razem, tak jak kto szedł. Nie ustawialiśmy się przedtem. Wszyscy strzelali. Uważam, że to wszystko było dobre ponieważ o wielu wypadkach słyszałem kiedy brygady, oddziały dostawały się w różne sytuacje właśnie z powodu: tu pijany, tam pijany. U nas po tych dwóch wypadkach nie pamiętam kogokolwiek pijanego. Może gdzieś wypił ale na nikogo się nie nadziałem w partyzanetce bądź co bądź, ^{jakby} ~~ja~~ nie było.

Po powrocie z urlopu chorobowego z grupą, z "Ptasznikiem" z tymi chłopcami z II Batalionu /Kadrowego/. Co było ciekawostką tu w czasie tego naszego powrotu?. Jedną noc jedziemy, drugi dzień

W takeij małej miejscowości, pamiętam, bo tam administratorem był znajomy ojca, Dubniczki nazywała się ta miejscowość. Małeńki mająteczek. Lasy dookoła dębowe zresztą, stąd chyba nazwa. Parę chałuppek, cmentarz na wzgórzu. Wobec tego "Ptasznik" jako dowódca kawalerii kiedy wracał z tego swego urlopu chorobowego, zarządza, że posterunek będzie stał na górze, tam na cmentarzu bo całą okolicę widać. Wystarczy ten jeden, po co na tych sześciu ludzi więcej ma stać jeżeli będziemy się zmieniać. A w nocy będzie ściągnięty tutaj bo i tak będziemy maszerować nocą. Ja, chyba ja, miałem pierwszą wartę. Chodzę po tym cmentarzu, rozglądam się w prawo, w lewo, patrzę na teren, na okolicę, czytam napisy. Nagle widzę w narożniku taki świeży grób pokryty dużą ilością kwiatów. Zaintrygowany podszedłem bliżej. Tam na drewnianej tabliczce napisane: tu leży żołnierz I Brygady "Sęp". A więc tędy szła nasza Brygada, tam gdzieś mieli akcję i "Sęp", jeden z trzech "Sępów", bo tylu ich u nas było jeden w żandarmerii, jeden u nas w szturmówce a jeden w kuchni I to był chyba ten z kuchni. Mówię chyba, bo nigdy nie dowiedziałem się, który to był "Sęp". Znowu dziwne dlaczego się nie pytałem. Wtedy zameldowałem o tym "Ptasznikowi" a i inni, którzy mieli posterunek też to oglądali.

Druga ciekawostka. Kiedyśmy następnej nocy jechali furmanką to dwóch zawsze szło z przodu, dla ubezpieczenia, w odległości, w nosy słuchowej, żeby można było słyszeć ten skrzyp kół. Na taką odległość wyprzedzaliśmy żeby nie tracić tego skrzypu kół i szliśmy przodem. W pewnym momencie podchodzimy, słońce już zaczyna wschodzić, szedłem z kapralem z UBK, ja szedłem po lewej stronie drogi on po prawej, nagle na horyzoncie słońce zaczyna naświetlać taką czerwoną tarczą kontur góry, gdzie ta droga podchodzi pojawiają się dwie głowy a potem rosną dwie sylwetki. Zupełnie jak gdyby ktoś je wyciosał, wyrzeźbił na tele tej słonecznej tarczy. Jedną

widać, ma z tyłu związane ręce, drugi - czapka, polska rogatywka, z wyciągniętym karabinem, prowadzi go w naszym kierunku. Myśmy natychmiast przypadli przy drodze, czekamy aż oni zejną z tej góry tu do nas i w momencie kiedy podchodzą coraz bliżej - stój, ręce do góry! Ten chłopak z karabinem zadrżał się a ten ze wzwiazanymi rękami stoi, nie może ich podnieść do góry bo ma związane. Pyta - to swoi, - swoi, swoi - jeśli ty jesteś swój. Podchodzimy bliżej, młody chłopak, też może 16 - 17 lat ubrany po cywilnemu tylko ta polówka polska i pyta się nas czy jesteśmy z brygady. Nie pyta z jakiej tylko czy z brygady. Mówimy, że tak. No to całe szczęście i oddaje nam kartkę. W tym czasie nadjechał wóz z "Ptasznikiem". Oni też przez chwilę się zatrzymali, usłyszeli tę całą naszą rozmowę. "Ptasznik" podszedł - o co chodzi? a tutaj jest kartka od komendanta siatki do komendanta tej grupy. Jakże, skąd? No bo myśmy już wiedzieli, że wy stoicie tej nocy w tej wsi. Już siatka wiedziała, że my tam śpimy. Myśmy niczego nie ujawniali. Taka była łączność. O co chodzi? W siatce nie wolno było rozwalać ludzi. Taki był rozkaz. W brygadach, jak były sądy, wolno było. I w związk^u z tym, że to był bandyta złapany na jakimś rabunku, komendant siatki opisał całą jego historię, to po prostu przekazał go przez tego chłopaka do nas. Myśmy też wyroku nie wykonali. Usiadł na wóz, dojechał do brygady i dopiero w brygadzie ten bandzior został rozstrzelany. Doszliśmy do brygady, stała w rejonie "Szczerbca"! To było kapitalne bo podjeżdżamy do rejonu "Szczerbca" niedaleko były Turgiele, nawet ta mapka, która była w książce obejmuje. Znowu takie zdarzenie, bo my nie byliśmy jeszcze w pełni umundurowani, tylko częściowo, natomiast "Szczerbiec" był już idealnie umundurowany. I w pewnym momencie podjeżdżamy, zjeżdżamy z jakichś wzgórz do małej miejscowości, parę chałupek. Ubezpieczenie nasze idzie, Kto tam był na ubezpieczeniu nie pamiętam, staje, zawraca

nachają rękami. My z tego wozu na boki. W porządku. Okazało się, że na mostku stoi kilku Niemców z karabinem maszynowym w tych swoich hełmach, płaszczach. Normalnie patrol niemiecki. Zglupieliśmy, bo patrzymy, oni nas widzą już, nie strzelają. My właściwie nie bardzo mamy z czego, bo tylko broń indywidualna, żadnej maszynowej myśmy nie mieli. Nie wiemy co teraz robić. Jesteśmy na takim zboczach cofać się w górę, gdzie? Łąka w prawo, łąka w lewo a oni 200 metrów przed nami. No i broń "Ptasznik" kazał, właściwie to nie musiał kazać, przygotować się wystarczyło, wiadomo zarepetowany karabin odbezpieczony, i tak trzymać. Jedziemy tą furką prosto na nich, bo już nic innego nam nie zostało. Oni się patrzą. Jeden oparty o balustradę mostku. Podjeżdżamy bliżej. Któryś odsłonił rękę, okazało się, miał opaskę. To byli ludzie od "Szczerbca" pięknie ubrani w niemieckie mundury. I jeszcze, ponieważ deszczyk trochę kropił to sobie płaszcze założyli na mundury, a opaski mieli na mundurach a nie na płaszczach i któryś jakós rękaw zsunął i myśmy się dopiero zorientowali. Mogła być pomyłka, tragiczna w skutkach. (Od razu parę słów, co słyhać? Ale tu u was fajnie. Tak ładnie ubrani. No i jedziemy. Zaraz następna wieś. Już jakiś pluton "Szczerbca", kowal konie kuje, ludzie z kawalerii "Szczerbca" kiwają nam rękami. Przejeżdżamy przez wieś. Już nas ukierunkowują, że gdzieś tam jeszcze parę kilometrów jest nasza brygada. Wiedzieli już o tym. Rzeczywiście wjechaliśmy w jakiś las. Leśną drogą dojeżdżamy do rejonów polanowatych, nazwijmy to, tzn. nie jedna polana a kilka jakby polanek. I tam w szalaszach z igliwia, po raz pierwszy, chyba jedyny nasza brygada odpoczywała.

Opuściłem jeszcze jedną akcję, która była na Błotach ale nie będą do tego wracał.

I rzeczywiście wtedy już była masa ludzi. Przez te trzy tygodnie jak mnie nie było, to Brygada wzrosła. Łącznie już wtedy miała ja-

kieś 350 osób, 7 plutonów już było. To już tak mogło być plus żandarmeria, był zbrojmistrz - rusznikarz, kuchnia polowa już była. I już - nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, kiedy się auto zjawilo, czy już wtedy czy w innym czasie. W każdym razie tam byliśmy parę dni. Nic się nie ~~działo~~ ^{działo}, normalnie tylko szkolenia. Ścieżki wygracowane jak u harcerzy, kamyczkami wyłożone nazwy plutonów. Był taki jeden nieprzyjemny może wypadek bo w pewnym momencie "Jutand" jadł z nami obiad. Zwykle przynoszono mu do namiotu. Tym razem przyszedł na tę polankę stołówkową gdzie z brzozy były porobione stołki i stoliczki i usiadł między nami. W tym momencie, dlatego to akurat pamiętam, bo obok, niedaleko siedziałem i jadłem z menażki. podszedł "Troczek" z żandarmerii, taki miał pseudonim. On uciekł z niemieckiego wojska, z artylerii przeciwlotniczej. Miał mundurek z krytymi guzikami, takie krótsze te mundurki były, nie takie niemieckie normalne. "Troczek" przyprowadza jakichś dwóch obdartych ludzi i mówi; że to są chętni do oddziału ale oni chcą nie do naszego ale innego, do jakiegoś radzieckiego. Dowódca mówi: przecież wiesz gdzie jest oddział radziecki. Zaprowadź ich. Nie ma sprawy. No i myśmy się też zorientowali gdzie ich zaprowadził. Była taka cisza. Wszyscy przestali jeść. Później było słychać gdzie ich zaprowadził. Sam usiłowałem te rzeczy zrozumieć, nie rozumiem do dzisiaj. To był taki moment.

Krótko po tym, w parę dni alarm. Wymarsz w trybie alarmowym. Okazało się, że "Szczerbiec" otacza jakieś bagna i my jesteśmy potrzebni też do otoczenia bo to duży teren, bo jakiś oddział znalazł się na bagnach. To trwało 3 dni w takich mokrych z komarami z wodą dołach, któreśmy sobie wykopali a la okopach, leżeli naokoło tych bagien. I chyba na trzeci dzień, właściwie to były dwie noce czyli dzień, noc, dzień, noc i w drugą lub trzecią noc, nie pamiętam dziś, nagle zaczęła się jakaś piekielna strzelanina, rakiety. Do nas, na naszym odcinku nie nie doarło. Później zbiórka, odmarsz.

Idziemy już w swpj rejon. Oczywiście z ciekawości pytaliśmy co się stało, jak to było? Jakiś oddział sowiecki tam był razem z babami, z wozami, z tym, owym i rzekomo zapozorowali przejście w jednym miejscu, tam się zaczęła akcja, a oni przeszli w drugim miejscu. Jednak wyszli z tych bagien. Pytałem po latach jednego od "Szczerbca" na spotkaniu w Wełtyniu jak to wyglądało. Mówił, że mogliśmy ich tam zlikwidować ale chodziło raczej o to, żeby ich stamtąd wypłoszyć, żeby oni się stamtąd wynieśli a nie żeby ich tam zniszczyć. Tak mi to zrelacjonował jeden od "Szczerbca".

Przeszliśmy na nasz teren. Nasz teren to Suderba, Sużany, Santoka, Bujwidze, Bystrzyca - to był nasz rzeczywiście rejon, w którym śmy się tworzyli, działali. Natomiast tu gdzie byliśmy już przedtem, przeszliśmy z powrotem, bardziej na północ. I wtedy z plutonem, już pod dowództwem "Koraba" mieliśmy akcję. To był gdzieś koniec maja. Na szosie między Wilnem a Świrem czyli ta szosa⁵, która prowadziła do miejscowości, w której mieszkali moi rodzice - Wormiany i dalej Świr - Narocz. Polegało to na tym, że w lasach, Ławaryszkach, takie były lasy 7 km się ciągnęły chyba, podjechaliśmy naszym wozem, można mówić, tylko pluton szturmowy. Lina została przeciągnięta za zakrętem szosy na wysokości szoferki mniej więcej, jadącego auta. Do dwóch drzew przywiązana. Wyjeżdżające z za zakrętu auto nie było w stanie już zahamować, zresztą nie zauwyżylby tej liny na tle lasu. Daliśmy, nazwijmy to po wojskowemu, obronę stanowiska, po jednej stronie naturalnie żeby się nawzajem nie razić, na takim pół-zboczku. Zaraz za tym zakrętem. Znowu było bardzo gorąco, bardzo pić się chciało. To była jakaś 4 rano gdyśmy podjechali, zrobili. 5 - 6 słońce majowo - czerwcowe słońce zaczyna świecić, bardzo parno, duszno w tym lesie. Jakies kawałki czegoś, poziomki chcieliśmy pozbiierać żeby zwilżyć usta bo nie było nic do picia. "Korab" niczego nie miał w manierce specjalnie. Czekamy na ten mający przyjechać konwój,

bo była taka informacja. Dowództwo wiedziało, że ma jechać ale patrole ubezpieczeniowe poszły do przodu jak zwykle gdy się stanowiska zajmuje i do tyłu też, rowami. Nagle słychać jakiś szum z przodu, głosy, nie uata tylko głosy i jeden z naszych, z patrolu biegnie, macha czapką, do dowódcy. "Korab" schodzi z tego pół-zbocza, podchodzi do niego. My też tak powoli się podnosimy. O co chodzi? Okazuje się, że jakieś 500 do 600 metrów przed nami w kierunku do Wilna, na tej samej szosie jest ścięte drzewo i kompania "Brzozy" od "Szczerbca", która założyła zasadzkę na ten transport. I ich tylne ubezpieczenie spotkało się z naszym przednim i jeszcze mało się nie postrzelali w pierwszym momencie naturalnie.

W momencie kiedy my tu zaczynamy mówić o tym, że linę trzeba zwinąć, bo skoro oni to drzewo ścięli przed nami - już ten transport nadjechał i zaczęła się walka. Oczywiście "Szczerbiec" walczył, myśmy dobiegli jak oni walczyli. I dobiegliśmy do pierwszego auta, które już było postrzelane. Oni, na tam aucie jeszcze się bronili ale było dwóch zabitych. To błyskawicznie się skończyło. I to auto był rozkaz czy też porozumienie między "Brzozą" a "Korabem", tego nie potrafię powiedzieć, dość, że my mamy, nasza drużyna, to auto jakoś wyholować i doprowadzić gdzieś na bok, do lasu. Ponieważ jeden "Ślązak" to pseudonim, nie wiem czy był ze Śląska umiał prowadzić pojazd, ale nie nasz kierowca, bo ten został z naszym wozem w lesie, z boku jakieś 2 km, z ubezpieczeniem, które tam zostało. Ale właśnie tam mamy ten wóz zaholować. "Ślązak" mówi, czekajcie, tu postrzelane trochę ale damy radę jakoś. Zapalił, rannych jeszcze wrzuciliśmy na auto - jeden Litwin, jeden Niemiec, ja sam wskoczyłem na skrzynie i jeszcze ktoś drugi. Reszta leciała z boku. Ten wóz się czołgał nie jechał ponieważ gdzieś miał przestrzelony silnik i pękł. Tak, że ledwiśmy zdążyli wjechać w tę leśną, boczną drogę to rozwalilo całą obudowę silnika, pękło wszystko i samochód sta-

nał. Ja przy okazji zacząłem buszować po tym samochodzie, co tam jest na wierzchu i znalazłem cukierki "raczki". Byłem uszczęśliwiony. Pić mi się strasznie chciało, patrzę, jakieś pudełka. Przeracam, są pudełka, coś w nich chlupocze, przebiłem bagnetem to pudełko, przechyliłem, a to było słodkie, skondensowane jak śmietana mleko. Dosłownie, wyrzuciłem tę puszkę z wściekłości bo mi się chciało pić strasznie a tu taki lukier mi się w usta lał. To takie szczegóły mi się przyominają.

I pamiętam, że Litwina zepchnąłem z tej skrzynki bo krwawił tak, że te całe cukierki by nam zakrwawił. Myślałem sobie, cholera, szkoda tych cukierków, bo tak rzadko cukierki tam były. Tak, że go z burty na drogę zrzuciłem, tam został. No wiem jak takie coś się nazywa ale wówczas człowiek nie kojarzył jakoś. Najważniejsze wtedy były cukierki. Koniec. Myślę sobie, on całą skrzynię cukierków zaleje a tutaj nie ma ich. Nie specjalnie chciałem go zrzucić ale przy okazji on mi się zsunął za burte, zleciał. Zresztą on był załatwiony, dostał po brzuchu. Przy okazji dostały jakieś dziewczyny, które jechały autem. Tego nie widziałem, mówiono o tym jakieśmy się spotkali ze "Szczerbem", bo później "Szczerbiec" doszedł do nas. Był podział tych wszystkich zdobyczy. Dwie polskie dziewczyny i ksiądz jechały następnym autem w szoferce. Ludzie zabierali się z Niemcami bo były takie zwyczaje. Ksiądz został ranny a te dziewczyny bardzo ciężko ranne, tak, że "Troczek" je dobił. Jedną i drugą bo one wołały podobno: polscy harcerze, ratujcie! Tak opowiadał. One były tak posieczone, że już nie było mowy o tym by żyły. I jeden od "Szczerbca", nie wiem jaki pseudonim miał przetrzeloną szczękę, urwało mu nawet podobno szczękę. Czy żył czy później umarł nie wiem. Wiem tylko, że ustrzeloną miał całą szczękę. Później po latach czytałem opis tej akcji, mam nawet, ale od strony "Szczerbca" Coś od ich strony tylko wiem, o tym nie mówię, bo tego

nie widziałem. Oni po prostu piszą właściwie tylko o sobie. W zasadzie mają rację, całe uderzenie oni przyjęli. Nas tam marginalnie wymienili: był tam pluton od "Juranda", znalazł się, w tym sensie. Trudno bo oni nie mogli zobaczyć tego co za zakrętem czy tego auta. Myśmy walki nie prowadzili. Nasi gdy dolecieli, ci którzy wrócili później, całe dwie drużyny, mówią, że już "Szczerbiec" załatwił, że już nie ma co. Tak, że tu mieli rację. Z tym, że według relacji "Koraba" to wyglądało, że to była nasza akcja i w książce jego wygląda, że to nasza brygada wspólnie ze "Szczerbcem". A tak naprawdę to był "Szczerbiec" a myśmy byli ot tak, na dobitkę. Tak dokładnie to wyglądało.

Następna sytuacja w czerwcu. Ciekawa była koncentracja II Zgrupowania. Wtedy nas oficjalnie przejął major "Węgielny" bo myśmy właściwie byli w I Zgrupowaniu u majora "Pohoreckiego" i później major "Węgielny" na zasadzie porozumienia z dowódcą, o czym dowiedziałem się po wojnie, oddał "Łupaszkę" do I Zgrupowania, a nas zamiast "Łupaszki" jak gdyby wymieniono i dano do II-go i w sumie odbyła się piękna uroczystość. To było w rejonie, w połowie czerwca. Z całą pewnością ta wymiana nastąpiła w czerwcu i "Łupaszko" został podporządkowany "Pohoreckiemu" a nasza Brygada "Węgielnemu", no bo przecież przy tym byłem i "Węgielny" nas powitał. Była 23 Brygada Brasławska, 4 Brygada Narocz była obecna i 35. Później dostała nazwę 36, wtedy nazywała się Oddział Leśny "Żejmiana". Wtedy się operowało: 4 Brygada Narocz, 23 Brasławska i Oddział Leśny "Żejmiana" i I Brygada "Juranda" - to jest II Zgrupowanie i ja jestem jego dowódcą i przedstawił się - major "Węgielny". Szef Sztabu w okularach, umarł teraz, zapomniałem w tej chwili pseudonim Szefa Sztabu.

W każdym razie występy artystyczne, defilada, msza św., ziemianstwo okoliczne, tłumy ludzi. Tłumy, chyba nie przesadzę, jak powiem, że

przynajmniej ze 2 tysiące osób było. Olbrzymia polana, to właściwie był obszar międzylesny, i na tym niby czworoboku, te cztery brygady. Naturalnie ubezpieczenia diabeł wie jakie tam były. Ten oltarz, występy naszej Brygady, śpiewy. Trzech ludzi śpiewało w tercecie: "Kiepura", "Doniec" i "Hena". Po wojnie wszyscy trzej zostali śpiewakami w operetce i w operze. Do dziś dnia jeszcze jeden śpiewa - "Hena". To było bardzo uroczyste. "Kiepura" to był pseudonim. Ładysz podobno był w III Brygadzie, u nas nie był na pewno ale słyszałem, że był w III Brygadzie. "Kiepura" śpiewał w Operetce Bałtyckiej zanim umarł, a "Doniec" śpiewał w Operetce w Poznaniu, mieszkał w trójmieście.

To była taka uroczysta rzecz i tak strasznie budująca. Kawaleria miała nawet garnizonówki z niebieskimi otokoami, tego Zaniemeńskiego Pułku. Jak oni te garnizonówki zorganizowali to ja nie wiem. Widocznie jakiegoś czapnika mieli, w każdym razie to wyglądało, że cała Polska istnieje. No takie wrażenie. Msza, ziemiaństwo, wozy, ludzi masa. Cały dzień to trwało. Defilada w tym piachu, w tym kurzu. To była cudowna uroczystość. I to właśnie było oficjalne przejście naszego Zgrupowania przez majora "Węgielnego".

Jeszcze przedtem akcja na torze w rejonie Geladni. Podchodzimy całą brygadą, tam podobno i 23 brała udział ale ja tego nie wiem, ponieważ nasza drużyna została wysunięta na ubezpieczenie toru od strony północnej, czyli myśmy nie brali udziału w akcji. Akcja polegała na: pociągu, na rozwaleniu, na wysadzeniu torów, na podłożeniu trotylu na przepust wody i tak, że w ogóle olbrzymia wyrwa w ziemi. I nasza drużyna poszła na ubezpieczenie i powiedziane było że jak będą dwie rakiety, nie pamiętam czy żółte czy jakieś inne to mamy się wtedy wycofać z tego ubezpieczenia od północy. Natomiast jakżeśmy już odchodzili z naszą drużyną od brygady, to ktoś krzyknął: nie czekajcie na rakiety, wycofujcie się po wybuchu, w

ten sposób. I to jest istotne bo myśmy zajęli przynajmniej ze 200 metrów z ~~prze~~ wyprzedzeniem od miejsca akcji ubezpieczenie okraciem cały tor, rkm no bo przecież były te sztycypunkty niemieckie. Słychać pociąg nadchodzi, później ^t jakieś strzały, huk, później wybuch, ziemia nas podrzuciła, dosłownie podrzuciła, położyły się słupy łącznościowe kolejowe. I cisza. Właściwie cisza aż w uszach dzwoni, my nic nie słyszymy. I tak leżymy, w tym momencie dowódca drużyny "Ryś" do mnie mówi: słucha. idź do tyłu, zobacz co tam się dzieje. No więc ja oczywiście schylony biegnę przy tym torze i nagle widzę takie rozwalone szyny i patrzę, coś tak błyszczący, bo to noc, od gwiazd, w dole a tam już woda, bo w miejscu gdzie był nasyp, od trotylu był taki wybuch, że tam się woda pojawiła. Ja właściwie nad takie jezioro nadleciałem, koniec torów. Coś tu widzę w tych ciemnościach, coś leży, coś rzezi ale nic więcej cisza. Biegnę więc z powrotem i zupełnie cichutko bo jeszcze nie wiem co się właściwie dzieje dalej, gdzie to wszystko zniknęło, pod to nasze ubezpieczenie, co najmniej 200 metrów byliśmy. Ale jeszcze nie dobiegłem, ja się prawie cząłgałem biegnąc, jak taki syk /usłyszałem/, padłem zupełnie i powoli się czołgam do naszego ubezpieczenia i wtedy słyszę: dydę, dydę, kroki. Po podkładach ktoś idzie na nas. I "Ryś" już mnie pociągnął do siebie, mówi: Niemcy idą, cicho. I do rkemisty - przytrzymaj do ostatniej chwili aż nie dam rozkazu. Jak nawet będziesz ich widział nie strzelaj, dopiero aż ci wydam rozkaz. I tak mu tam klaruje. A my wszyscy leżymy. No i rzeczywiście widać było, już taka szarówka zaczyna się robić, te idące sylwetki. Odległość jakieś 70 metrów chyba, najwyżej. A ten tak po wileńsku: wsuna, wsuna, czyli strzelam, sunę w tym sensie ależ nie, on mówi: wsuna, wsuna, - nie - i tak go za ramię łapie. I on nie wytrzymał. To co kiedyś, na samym początku mówiłem o szybkim wystrzeleniu przed czasem. I ~~tu~~ tą serią. Tak, że właściwie

rozkaz nie padł a on strzelił. Niemcy, to było tak wyszkolonwe wojsko, oni dosłownie w tym momencie byli w tyralierze. Przecież właściwie tam nikt nie powinien był żywy wyjść, bo przecież seria z diegtiarowa z tej odległości, skoszona lekko, to powinna przynajmniej połowa leżeć. Jak się okazało później, podobno, od ludzi, mieszkańców dowiedzieliśmy się na drugi dzień, że było dwóch zabitych. W każdym razie reszta od razu otworzyła ogień i sytuacja absolutnie się odwróciła bo oni się tak sypnęli w tyralierkę, że już nas właściwie mieli prawie z boku. Byli wyszkoleni kapitalnie. Teren wycięty z drzew z obu stron bo Niemcy tak robili w odległości gdzieś 150 metrów. A więc pusto. My mamy do lasu te 150 metrów. Myśmy mieli ich zaskoczyć a to oni nas zaskoczyli tym swoim błyskawicznym rozwaleniem się. Tam było ich 12 czy 15 a nas wtedy było 9. Ten z rkm-em przygłupił, gdyby ich przypuścił na 30 m. i posiał serię to by nie wyszli. Prawdopodobnie, tak nam się wydawała, że oni wszyscy szli górą, przypuszczam, że oni częściowo szli dołem i dlatego tak szybko mogli ten ogień otworzyć. A nam się wydawało, że ta grupka idzie górą, myśmy to widzieli na tym tle, a tych, tam niżej myśmy chyba nie widzieli. I wtedy "Ryś" zdecydował, że my strzelamy, owszem, bronimy się normalnie. Krótko mówiąc: powiedział: ja biorę rkm, przytrzymuję ich, wy przeskakujcie do lasu. I tak się stało. Myśmy skokami do lasu, nie wszyscy na raz. Kilku strzelało i skokami, skokami, a on tym rkm-em przytrzymywał ich. I wtedy gdy my znaleźliśmy się w lesie i otworzyli ogień już z lasu to on z rkm-em jeszcze dał radę przelecieć do nas i nikomu nic się nie stało. To wydawało się nie do wiary. Jeszcze zdążył. To wtedy była ta akcja. "Ryś" dostał opeer, bo to było istotne, dlatego mówiłem o rakietach. Doszliśmy do Brygady. Brygada stała jakies już półtora czy dwa km w lesie, tam gdzie był punkt, z którego wychodziliśmy, z takiej polany. Natychmiast został wezwany do rapor-

tu: jakim prawem wszedł samowolnie do akcji, miał się wycofać jak już było po akcji itd. A on mówi: przecież miały być dwie rakiety. Jakie dwie rakiety? Był rozkaz, że po wybuchu wycofujesz się. Ja to słyszałem i sądziłem, że i on to słyszał bo szedł na czołe drużyny, a on zapamiętał tylko te dwie rakiety i dlategośmy "leżeli w ogóle. To takie jakieś drobiazgi nieskoordynowane, które nieraz wypadają. Ale w sumie tak to wypadło.

Koniec czerwca, w każdym razie ostatnie dni czerwca. Jesteśmy w rejonie tzw. naszym czyli tu gdzieś koło Punżan, Bujwid i zbliżamy się w kierunku Santoki. Santoka była miejscowością, w której rzeka Żejmiana, gdzieś koło wpadała do Wilii. I tam był most i jednocześnie most kolejowy. Rankiem Brygada poszła do przodu, my jesteśmy na aucie jako pluton szturmowy. Auto staje czasami, jedzie bo inaczej brygadę by zostawiło. Brygada idzie przodem piechotą i kawaleria. Natomiast nasze auto jedzie. Po przejechaniu 5 - 10 km staje. My sobie odpoczywamy. Dobijamy do brygady. Znowu stajemy. I takimi skokami z tyłu za brygadą się posuwamy. W pewnym momencie kiedy już jesteśmy blisko skrzyżowania z mostem i z tymi rzekami, gdzieś z takiej porannej mgły, jakieś niemieckie głosy: wartę, wartę, cameraden. "Korab" odzywa się coś po niemiecku: ja, ja wir... - będziemy czekać. Po prostu zorientował się, że Niemcy skądś idą bo to już jest wycofywanie Niemców, już zwijanka. Bo to już jest czerwiec /13 lipca jest przecież śmierć "Juranda"/ a od 6 /lipca/ toczą się walki o Wilno.

To jest 25 czerwca. Jest ruch pewnych przyfrontowych oddziałów niemieckich w kierunku zachodnim, jest przesuwanie. Któraś z ich kolumn musiała widocznie, słysząc samochód, być pewna, że tylko Niemcy. A ponieważ szturmówka nasza wtedy ubrana była absolutnie po niemiecku, mieliśmy idealnie dopasowane mundury. Były dwa odcienie mundurów niemieckich, zasadnicze. Jedne wehrmachtowskie zupeł-

szare i później, pod koniec wprowadzono takie o bardzoj błękitnym przeblysku nie czysto stalgrau i myśmy mieli te drugie, właśnie te nowsze, przy których rękawy nie miały ciemnych otoków tylko były całe gładkie, te otoki były ciemnozielone i do tego mieliśmy hełmy. Tak, że jakieśmy opaski ściągali to nie wiadomo było kto to. "Korab" się zorientował, że Niemcy biorą nas za Niemców. Podgoniliśmy Brygadę. "Korab" zameldował, a ci Niemcy zostali we mgle, że tam Niemcy jacyś wołają, że idą naszym tropem, jak gdyby, bo tą samą drogą, bo do niej dołączają. Ktoś zdecydował, nie wiem oczywiście, kto, no, dowództwo zdecydowało czy "Korab" czy "Jurand", że Brygada idzie dalej a my robimy tutaj za zakrętem zasadzkę. Wóz poszedł dalej na drogę, za zakręt, a my na takim zboczku, zaraz przy tym moście. Później "Korab" nazywa to "brodą" mostu przed zniszczeniem przez Niemców, powiedzmy, że to tak nazywać można. Już byliśmy po tej tronie i oni z tej mgły się wyłaniają. Idą tabory niemieckie i Niemcy przy wozach idą. Myśmy ich ogniem obłożyli z góry, tak pięknie jak do kaczek. Ci co zabici, to zabici. Dwa konie padły przy okazji. Komu się udało to we mgle. A my z tego wzgórza do wozów. Wiadomo coś tam będzie, jakiś miód, jakieś inne rzeczy, czekolada. Strasznie byliśmy na to łasi bo tego nie było. I w tym momencie jak my tu gmeramy i broń jaka została wyjmujemy z wozów i od tych co zabici, dostajemy taki ładny ogień, że aż ciepło się robi. Okazuje się, że za nimi, to też była mądrość, jechał pluton cyklistów niemieckich na rowerach, za tymi taboarami. Gdy usłyszeli strzelaninę to się, naturalnie, zatrzymali. Jak się zatrzymali to się ładnie rozwinęli, jak się rozwinęli to od nasypu tołowego pięknie nas zaatakowali sami leżąc na szynach, można powiedzieć, że my w dole. a tu mamy wzgórze. Dosłownie kule szły nad samą głową bo ja głowę trzymałem już w koleinie, bo to było najniższe miejsce, hełm jeszcze tak wyprostowałem bo bym nie mógł głowy schować. Niemiec mi le-

zał żywy twarzą do mnie, on też wyciągnięty, bo do niego też strzelali bo przecież nie wiedzieli, że tam są Niemcy. I ten Niemiec zaczyna do mnie mówić łamaną polszczyzną - daj mi ten drugi karabin, ja też będę strzelał do Niemców. To było najlepsze. To był Ślązak, właściwie jeden ze Ślązaków. Ślązaków został u nas przy kuchni. Ja mu nie wierzyłem. Myślę sobie: dziad mówi po polsku a potem jeszcze mi dosunie. Nie, kiwam głową ale tu pruję. Kule lecą. Różnica terenu, wykształcenie drogi, tak wyglądało, że właściwie nas osłaniało na 30 cm. Więcej nie można było się podnieść. Trudno było się obrócić żeby strzelać. Trzeba było być w pół zgiętym. Wtedy oczywiście Brygada daleko nie odeszła. Dowódca "Jurand" słyszał tę strzelaninę. Zorientował się po wymianie strzałów, że to coś nie tak. I odesłał, nie wiem, konno czy na jakiejś bietce, kogoś z ckm-em. Ten z ckm-em podjechał i przykrył ich znowu z boku ogniem. Jak ich przykrył tym ckm-em to myśmy mieli możliwość złapania oddechu i wdarcia się na te górki. Tam zajęliśmy stanowiska. I dopiero ... ale oni we mgle już się kapnęli, że jest ckm, tu już my mamy stanowiska zajęte więc tylko parę strzałów, zwinęli żagle, wycofali się. Już ich nawet nie szukaliśmy ani nie gonili. Kilku poszło na tory zobaczyć, coś pozbierać a nam ten transport został. Myśmy się nie licho obłowili bo wszystkie ich plecaki, które normalnie mieliby nieść to były złożone na wozach. Każdy zafasował po plecaku, więc świeża bielizna, dodatkowa amunicja w chlebakach no i oczywiście żarcie fajne bo oni mieli różne smakołyki, których my od lat nie mieliśmy. Zaraz krótko po tym przechodziliśmy szosę.

To było kapitalne, wystrzeliłem z tego drugiego karabinu, bo myśmy wtedy, 3 drużyna, zostaliśmy przezbrojeni na rosyjską broń. Ponieważ dowódca plutonu wychodził z założenia, że skoro działamy samodzielnie jako pluton szturmowy i możemy się nadziać na różne re-uzbrojenie to dwie drużyny będą uzbrojone w niemiecką broń a trze-

cia mimo, że jesteście w niemieckich mundurach będzie miała rosyjską broń. I ja byłem w trzeciej drużynie na rosyjską broń. I wtedy po raz pierwszy musiałem mieć mosina a tu złapałem tego mausera od tego szwaba. Mosin był niewygodny, mauser był podręczniejszy i z niego strzelałem. Nie zauważyłem tylko, że pełno ziemi miał. Jak się okazało, lufę rozdałem bo miałem ziemię na kopnięcie, myślałem, że mi ramię wyrwie. Nie zwróciłem uwagi, że⁵ w trakcie przesuwania nasunąłem pełno piachu.

Wracając do tej szosy. Przechodzimy przez szosę gdzie jest kapitalna sytuacja. Niemieckie transporty ciągną więc my przepuszczamy. Przepuszczamy i skokami, znowu jak jakaś przerwa, w nocy. Nagle, musiała widocznie być jakaś informacja, że jeden z naszych oddziałów partyzanckich chce dołączyć do naszej Brygady. Oddział z terenów białoruskich tam gdzieś z góry, skądś z północy, gdzieś z Brasławia tu przywędrował, chce do nas dołączyć. Ma jechać "Jurand" i z nimi rozmawiać i ustalić szczegóły gdzie mają dołączyć. Brygada skręca gdzieś w lewo w kierunku na Czerwony Dwór czyli jak gdyby zliża się w kierunku Wilna, bo już właściwie zaczyna się akcja "Burza", o czym ja wtedy nie wiedziałem bo nikt tego tak nie nazywał, a więc nas już tam ściągają. My z "Jurandem", my to znaczy nasz pluton ale bez "Koraba", "Korab" właśnie został przy Brygadzie i, jak pisze w swoich wspomnieniach, wtedy czuł się dowódcą Brygady. Być może. A "Jurand" wsiadł do szoferki, my wszyscy po niemiecku ubrani a "Jurand" po polsku, w mundurze w czapce - polówce. Szofer po niemiecku, my po niemiecku tylko on jeden po polsku. To jest istotne. Przyjeżdżamy do Sużan czy do Suderwy tym autem, normalnie tylko tym autem. I okazuje się, że rzeczywiście są w mundurach policji białoruskiej ludzie mówiący po polsku, którzy chcą do nas dołączyć, po prostu. Policja białoruska nosiła zupełnie czarne mundury i popielate wyłogi, taki kocowy kolor wyłogów, jak z ko-

ca, takie mieli. Idiotyczny zestaw kolorów. Dwa ckm-y mają ze sobą. Ckm-y od razu poszły na nasz samochód, myśmy mieli na holgaz, na kostkę drewnianą. Sanitariuszka, jedna z nich, jakaś dziewczyna wsiadła do nas. A oni zostali ukierunkowani gdzie mają iść żeby dojść do Brygady. "Jurand" wsiadł i po paru godzinach rozmów jedziemy sobie. Jedziemy, jedziemy, "Jurand" wie gdzie, ma mapę, żeby dobić do Brygady. ale musimy znowu przez szosę przejechać. I w związku z tym przed szosą, w takim zagajniczku, zatrzymujemy auto. Dwóch idzie na patrol na szosę. No i ciągle Niemcy, ciągle Niemcy, ciągle ze wschodu na zachód walą wycofujące się oddziały. Jak to czekanie trwało chyba z godzinę, a to już normalny dzień, to "Jurand" zdecydował, żeby zwinąć opaski, zdjęliśmy opaski, rozpiąć kołnierze, rękawy zawiązać na 3/4. On narzucił tylko na siebie jeden z mundurów, ^októryś z naszych go zdjął, bo przecież "Jurand" miał polski mundur, a mimo to polówki nie zdjął. Oczekaliśmy jak dwa, trzy ciężarowce leciały zwarte, była mała luka, z daleka widać było samochód osobowy z jakimiś oficerami. Wyjechaliśmy z tej bocznej drogi, a musieliśmy przynajmniej 4 z 15 km jechać tą szosą żeby dojechać tam, gdzie potrzebowaliśmy skręcić w lewo. I tak przez 15 km jechaliśmy za tymi samochodami ciężarowymi, za nami jechali Niemcy. Tych to ja widziałem bardzo dobrze bo ja siedziałem na tylnej ścianie burty, więc oni się na mnie patrzyli a ja na nich. Dosłownie. W pewnym momencie jak "Jurand" uznał, że trasa jemu odpowiada, że teraz dojedziemy do brygady, kazał kierowcy skręcić w lewo, a ci pojechali dalej. I było wszystko w porządku, dopiero jak dojechalismy do Czerwonego Dworu to okazało się, że cały czas na błotniku był biało-czerwony proporzeczek. I cały czas żeśmy z tym jechali. Później powiedzieli inni: stary, Niemcy mieli tyle oznak dywizyjnych, różnych, że tam dla nich jakiś proporzeczek czerwono-biały to nie kojarzył się wcale z tym. Ale "Jurand" polówki nie zdjął, cały

czas jechał w polówce w szoferce, a my jak Szwaby, normalnie rozwaleni, tutaj rękawy zawinięte, hełmy trochę odsunięte, mundury rozpięte. Po to by w akcji nie postrzelać się nawzajem, to od czasu kiedy wprowadzili w plutonie szturmowym te jednolite niemieckie umundurowanie, toczka w toczkę, bez żadnych orzełków, tośmy wszyscy dostali żółte, jedwabne chustki, któreśmy zawiązywali pod szyję i one tak jak apaszki były w mundurze, to też Niemcy pozwalali sobie na froncie nosić takie apaszki. Ale nasze były wszystkie jednokowe, żółte. Tak, że jak w naszym plutonie w lesie czy gdzieś mieliśmy jakieś pierepałki, no to po tych żółtych apaszkach od razu się rozpoznawaliśmy. Bo nawet jak się człowiek cały schował, to jeszcze jak głowę wysunął, to mu tej apaszki ^{trochę} ~~kawałek~~ było widać. To też nie było głupie. To była taka ciekawostka z tymi Niemcami, z którymi żeśmy jechali.

Później już jesteśmy w majątku Wilianowo, 30 km od Wilna. Już jest spotkanie z czołówką sowiecką. To są pierwsze dni lipca. Tak, że jak myśmy przepuścili front niemiecki, że tak powiem, bo już pierwsze patrole rosyjskie przez rzekę do nas dobiły, ominęli nas jak gdyby tam gdzieśmy się przemykali. Zaraz zostali odprowadzeni do "Juranda". Tam w pobliżu był major "Węgielny" o czym ja nie wiem, to z jego wspomnień już dodaję, że podobno był w pobliżu. Już do niego "Jurand" zaprowadził tych oficerów łącznikowych i zostaliśmy wtedy podporządkowani, w ciągu 24 godzin, mówię o naszym II Zgrupowaniu czyli 23, IV Narocz, I Wileńska i 36 "Żejmiana". Zostaliśmy podporządkowani Dowódcy Dywizji 277 Generałowi Gładyszewowi, a dowódcą pułku do którego nasza Brygada została przyjęta był Morozow, 183 Pułk Piechoty, jako zwiad.

Ale nie wiem dlaczego, mimo, że ten rozkaz już padł, że jesteśmy podporządkowani, to nagle w nocy puścili nas na Wilno o d Góry Szyszkinickiej i tam żeśmy bunkry próbowali zdobywać. Nic z tego

nie wyszło. Wycofaliśmy się z powrotem na kierunek Mejszagoły czyli to jest 15 - 20 km na północ od Wilna. I tam nas włączono do odcinka frontowego, tak, że stanęliśmy, nasza Brygada, tyłem do Wilna. W tym czasie kiedy "Szczerbiec" zdobywał "Wilno i brygady południowe atakowały Wilno to myśmy już byli 20 km na północ od Wilna. Taka była sytuacja. I to był 7 - czy 9 - 10, w każdym razie w tym czasie odbyło się nasze przejście za front, gdzie nasz pluton brał udział w tym pościgu, o czym tak szeroko "Korab" się rozpisał. Przepraszam, to tak jakbym złośliwie to mówił ale to nie o to chodzi. Po prostu pewnego wieczora kiedy leżeliśmy na stanowiskach, byliśmy poszatkwani. Tu nasz pluto a zaraz obok stanowisko sowieckie, z działka strzelało, tak, że byliśmy normalnie włączeni na te stanowiska, a dolina, łąka w górę i las i tam Niemcy. Nawet artyleria nie strzelała, samoloty, lotnictwo i to niemieckie przeważnie. No i z niskiego, koszącego lotu pruli po nas. Tu żeśmy dostali troszkę po pupie. Paru było rannych, zabity nie był nikt. Nam się nie chciało kopać okopów do pełnego profilu tak jak ruscy, tylko żeśmy sobie wygarnęli takie leżące osłony, a ruscy normalnie wyryli jak trzeba takie dobre. A ten jak z góry leciał i strzelał, no to wiadomo. Ja też zresztą myślałem, że jestem rozsiepany bo on puścił serię obok i to była zeschnęta glina. Ja byłem celtą niemiecką przykryty, tą maskującą i poczułem nagle takie silne uderzenia, twarde, po plecach, po wszystkim. Od razu miałem wrażenie, że to pociski przeze mnie przeszły. Chwilę poleżałem nie poczułem bólu i ruszyłem się, to zleciała twarda glina, którą strzelając odbił i tymi małymi bombkami, które rzucali ręcznie. Jak wyrzucał z kabiny twarze było widać.

Wieczorem rozkaz dzienny, bo nas ściągali z tych posterunków na zmianę, jeden pluton, drugi pluton do wsi, do tyłu. Rozkaz odczytany i nasz pluton III - ci idzie na zwiad nocny, na front. Oddać

wszystkie części błyszczące, oddać wszystkie papierki, to tamto, owo. 200 sztuk amunicji, po 2 granaty i na stanowiska. Oczywiście doczekaliśmy nocy ale to już przy stanowiskach rosyjskich, niżej, nie na tych górkach gdzie myśmy byli. Oni później byli tu w dole. I w nocy dosłownie tak to wyglądało, że "Korab" podaje rozkaz: naprzód po cichu i my widzieliśmy w dzień jak ta sytuacja wygląda, że tu jest dolina i dopiero gdzieś po kilometrze to zbocze trawiste podnosi się i tam na tej lizjerze lasu są Niemcy. Każdy wiedział, że ma przed sobą te prawie półtora kilometra czy ileś pustej zupełnie przestrzeni. Ale jest ciemno. Te wileńskie noce potrafią być tak ciemne, że człowiek na pół metra nie widzia. I rzeczywiście idziemy. Po pewnym czasie kazał paść, padnij. Już wtedy żeśmy szli żmijką czyli wężykiem, tak, że kto padł to miał buty poprzednika przed sobą. I zaczęło się czołganie. To czołganie trwało, nie wiem, zegarka nie miałem, na zegarek nie patrzyłem, ale w odczuciu zostało mi jakby co najmniej półtorej godziny, zanim doczołgaliśmy się do lizjery lasu trzymając się prawie butów poprzednika. Później była cisza, dłuższy czas, nie wiem, mi się wydaje, że pół godziny, może to trwało 10 minut. "Korab" z kimś jeszcze myszkował, ja to wiem później, bo tego nie wiedziałem, tylko leżałem. Ten /przede mną/ nie ruszał się ja też nie ruszałem się. Słychać było głosy niemiec-kię, szwargotanie. I Szukali wolnego miejsca. I znaleźli pustawe miejsce i tym wężykiem przeczolgaliśmy się przez tę linię, jeszcze chyba jakieś 100 m. było czołganie w lesie. Później wolno było się podnieść, trzymać za ręce i takim sznureczkiem, krzewami, krzewami, gdy doszliśmy już świtało. Zaczęliśmy tę historię chyba o godzinie 10 w nocy a jakżeśmy przeszli w sumie razem ze 3 może zaledwie 4 km to już dniało. Niemców mieliśmy za sobą. Oczywiście, że po wsiać gdzieś stali ale linię, jako taką, mieliśmy za sobą. Tylko jedną linię mieli Niemcy i to nie były okopy, jak się później okazało, mie-

li stanowiska porobione dla dział ale nie było ciągłych okopów. Były gniazda oporu i normalnie ludzie leżeli, stanowiska były zajęte, bo to później było wiadomo. Drugiej linii nie było, tzn. myśmy się znaleźli jak gdyby między pierwszą a drugą ale tego nie można nazywać drugą linią bo tam już byli Niemcy. W tych miejscowościach, we wsiach, w zaściankach stały zgrupowania niemieckie ale nie było żadnej drugiej linii okopów. To przejściowe wycofywanie Niemców, oni z dnia na dzień zmieniali stanowiska. Tu pod Mejszagołą zaledwie, chyba, trzy dni były te stanowiska. Nie było pewno za dużo czasu i dlatego stanowiska nie były rozbudowane. Z całą pewnością nie było nawet jednej ciągłej linii okopów. Nawet jednej.

I myśmy się znaleźli wtedy 5 km za linią niemiecką, to już później z mapy wiem. Teren był już zupełnie pusty, lasy z boku, chałupki. My idziemy, tak jak byliśmy w plutonie szturmowym zupełnie po niemiecku ubrani. Można było tylko na tyle się zorientować, i to był chyba błąd, że myśmy wszyscy byli w takich zielono-niebieskawych mundurach a "Korab", jako dowódca, był w lotniczym. Lotniczy miał inny kolor. I miał czapkę, taką sztywną czy polówkę niemiecką. Teraz sobie nie przypominam. Był przez pewien czas w tej czapce a potem miał chyba tę polówkę niemiecką. I jakżeśmy podeszli tą równiną przeciętą tylko strugą takiej rzeczki pod Mejszagołę, to jest miasteczko, które liczyło 5 tysięcy może 4 tysiące ludzi, płaszczyzna taka była i zaczęliśmy odróżniać okna, kontury drzwi itd. to żeśmy się wtedy położyli i "Korab" podał rozkaz otworzenia ognia. Otworzenia ognia wtedy kiedy mieliśmy 5 km za sobą Niemców i w tych poszczególnych tu, wszędzie też byli Niemcy tyle, że nie obok nas. Chodziło o to, że miał to być zwiad ogniowy. Tamci mają odpowiedzialność ogniem, takie było wtedy z ruskimi ustalenie, a ruscy wtedy zaatakują szosę. To znowu relacja, którą usłyszałem później. Wtedy nie wiedziałem po co my tak robimy. Oczywiście pięknie nas podpuś-

cili bośmy strzelali z 3 lkm-ów na taśmą, wzięliśmy potrójną ilość broni. Jeden się zaciął od razu. I jeszcze bliżej podeszliśmy. W tym momencie nadlatują niemieckie sztukasy i jeden z nich bardzo nisko się pocyhlił, tak się przechylił na skrzydło, widzi nas jak na dłoni. To się zgadza, bo jak latałem później samolotem, to widziałem jak to świetnie widać. I widzi "Niemców" rozłożonych, strzelających tu w kierunku tych, no to pięknie podlecieli, tam po tamtych, swoich, krótko mówiąc. Oni widocznie byli tam przelotem czy zmieniali kurs, w każdym razie, jak zobaczyli, że Niemcy strzelają no to bardzo ładnie tam posunęli, coś chyba zrzucili, ze 3 bombki. Seriami pojechali i ci się wtedy odezwali, no bo już wściekli, że własne lotnictwo ich nakryło. Jak się okazało, tam dobre dwie kompanie czekały na nas. ładnie rozłożone. Bo jak otworzyli ogień to na całym horyzoncie grzmiało no i pruć. Nie było już nic do dyskusowania, w ogóle nie było o czym mówić, po prostu, tylko w koryto tej rzeki, łeb w dół, bo dosłownie tu równina, akurat wyjątkowo jak na wileńszczyznę. I tą rzeką, ale gdzie?, w jakim kierunku?. Do frontu uciekamy czyli znowu do tych Niemców przez których żeśmy przeszli. Ale na szczęście ruscy już wtedy zaatakowali. To było też kapitalne bo my w niemieckich mundurach - jako Niemcy, w krzakach przyczajeni a tu idą już pierwsze patrole rosyjskie. Wygląda to w ten sposób, że idzie, ciągnie ckm, dwóch niesie rusznicę i widzą nas. My oczywiście kiwamy, mówimy do nich po polsku, ktoś po rosyjsku bo niejeden znał rosyjski - my otriad partyzancki. Ale my wyglądamy jak rasowi, autentyczni Niemcy, więc pierwszy, normalny odruch żołnierza idącego w pierwszej linii to przynajmniej nas rozbroić jeśli nie strzelać. Okazuje się, że nas minęli najnormalniej w świecie jak byśmy nie istnieli. Dosłownie, autentycznie, można spytać kogokolwiek z "korabem" włącznie. Po prostu, oni widocznie wychodzili z założenia, że skoro do nich nie strzelają to już są tacy, którzy

idą do niewoli, to oni się takimi nie zajmują. Ale to, że myśmy mogli im z tyłu, po plecach posunąć, to im do głowy nie przyszło. Nie wiem, może byli do tego przyzwyczajeni. N*o* i wtedy doszliśmy do Brygady, czyli zetknęliśmy się ale już do szosy musieliśmy dojść. Brygada była na szosie, n*e* na tej osi, którą myśmy przechodzili front tylko już szła szosą. Myśmy łukiem dotarli do szosy i wtedy śmy do nich dołączyli. I gdy przechodziliśmy przez miasto to odezwała się artyleria niemiecka. Pierwsza oczywiście była rosyjska. Tak, że jak przechodziliśmy przez zdobyte już miasto to wszystko parowało, trupy końskie porozwalane, chałupy porozwalane, taka para biła z tego wszystkiego. Ale zaraz za miastemzkiem artyleria niemiecka nas przyłożyła. Nas to znaczy mam na myśli oddziały rosyjskie i nas naturalnie. I praktycznie biorąc moja osobista kariera w brygadzie kończy się tu, już w tym momencie.

Zostaje ranny "Edek" to jest ten mój kolega z którym od początku idę, ten Stasiu, który broń organizował. Wtedy zostaje ranny w nogę w tym postrzale artyleryjskim. Leżymy w takim leju, ja nie wiem co z nim zrobić. Oczywiście brygada idzie dalej w całym tym zamieszaniu. Nadziałem się na ruski patrol sanitarny i "Edka" zawindowałem do tego patrolu. Patrol sanitarny, normalnie wozy, kolumna sanitarna, tak można nazwać. On mówi: stary zostań ze mną, ja tu sam. Dobra mówię, nie bój się, nie ma sprawy. Ja z nim zostałem, jemu nogę zabandażowali. I mówimy, że my do brygady, ale nie wiadomo dokąd oni pojechali. Tu niczego nie można się dowiedzieć bo kilka-ma drogami z Mejszagoły wychodzi ten wąż rosyjski, my jedziemy razem. Trwało przynajmniej ze 2 godziny zanim mu tę nogę zabandażowali. Gdzie ta brygada? To nie można się tak nagle znaleźć. Zostajemy przy lejtenancie z sanitariatu i z nim razem i z całą kolumną przez 4 - 5 dni aż na Litwę. Dopiero przy jakimś polskim majątku nadziewamy się na dwóch chłopaków nie z naszej Brygady ale z kons-

piracji, którzy mówią: gdzie wy się z nimi szwendacie, jest rozkaz wszystko na Wilno! Do Wilna, z powrotem wracać do Wilna, tam jest koncentracja!. My wtedy urywamy się od tych ruskich, najnormalniej w świecie. To było między 10 a 11 lipca, Wilno wtedy już było zdobyte ale wiadomo jaka była łączność, jaki to był teren, ponad 100 km od Wilna. Tam koncentracja. Teraz myślimy jak my z tymi mundurami z tym wszystkim. Mundury u chłopca zabezpieczamy, broń w celty. Jesteśmy w koszulkach i spodniach. Jedne spodnie wymieniliśmy, drugie zostały. I teraz /do chłopca/: pilnuj, jeśli coś z tego zginie to ci chałupę spalimy. Na pewno nic nie ruszy. My z "Edkiem" idziemy we dwójkę bez broni. Jedną noc żeśmy spali. Ruch wojsk. To jest wtedy kiedy Brygada już walczy pod Nowosiólkami 12 - 13 bo w tym czasie tam się znaleźli. Nas już przy tym nie ma ani mnie ani Edka.

A my skoro jest sygnał, że tam gdzieś jest zbiórka, z powrotem trzeba dobiec. Ciągłe nas Rosjanie mijają. Wszędzie Rosjanie. Całe masy. I pod samym Wilnem już zaczynamy widzieć chłopaków też trochę ubranych, widać po twarzach, którzy znowu w odwrotnym kierunku prują, od Wilna na północ. Po tych oczach już widać co i jak. I oni nas wreszcie pytają: a wy dokąd?, gdzie? Tam rozbrajają. Jeden, drugi, trzeci to mówi. To już do Wilna nie dotarliśmy tylko w lewo, na Niemenczyn i do Niemenczyna do tego majątku z powrotem, z któregośmy kiedyś wyszli. Już tam jest "Wiś", który się zwinął jeszcze wcześniej, ten, z którym byłem razem. Jesteśmy we trójkę. Nie trwa parę dni, tydzień może dwa, wszystko wiadomo, że gdzieś pod Wilnem była koncentracja. Słuchy już chodzą, że coś się stało, że do wojska polskiego. Ale właściwie to nie wiadomo. Tam o Mielnikach śmy się jeszcze nie dowiedzieli. Jeszcze ta łączność do nas nie doszła przez to, że ruch frontu był./ruskiego/. Nie w tę stronę a w tę przeciż. No i zjawia się wtedy, nie kto inny, jak ten pan, którego

fotografia jest w książce, z tym, że ja jego nie znałem, bo z "Łupaszka" dwa razy mijaliśmy się. Przedstawia się, to jest miesiąc sierpień a on przytargał jeszcze taką "budionówkę", nie wiem po co w tej budionówce. I pyta: co wy tu robicie? "Mścisław" to był, dowódca kompanii szturmowej od "Łupaszki". Co wy tu w ogóle robicie? No właśnie, taka sytuacja, tego, owego. A broń macie? Tu to może by się i znalazła. W sumie to myśmy tam zostawili. A w Niemenczyźnie jest zakopany rkm, ten którego nie mogliśmy wtedy wyciągnąć. Dobra, ja znikam na parę dni a wy za parę dni zorganizujecie broń. My idziemy we dwójkę na kierunek mapy. Zrobiłem prosto, linię przeciągnąłem między tą miejscowością a miejscem gdzie pod Litwą gdzie zostawiliśmy tę broń, ołówkiem przeciąłem. I szliśmy co 5 km zmieniając przewodnika po prostej, prawie wzdłuż mapy. Wertepami, polami, ścieżkami do jakiejś miejscowości. Patrzymy się, w. Widuliszki jakieś, dobrze puszczone /przewodnia/. W Widuliszkach następnego /bierzemy/, prowadzi do jakichś Kawęciszek i ten prowadził. I tym systemem prawie po osi tej sztabówki przeszliśmy. Poszliśmy do tego chłopca. Zabraliśmy broń którąś tam mieli. Wracaliśmy tą samą trasą ale nocami, bo przecież ciągle ruch wojsk. "Mścisław" zjawił się już z powrotem. Pojechaliśmy do Niemenczyzny. W biały dzień ten rkm wykopaliśmy. Znaleźliśmy nareszcie to czegośmy szukali przed dwoma laty. Złożyliśmy, Był cały w skrzynce z oliwą. Taka polska skrzynka od amunicji, czeski rkm, czeska zbrojowka 20-strzałowa. Złożyliśmy, serię próbną zrobiliśmy nad jeziorkiem w tym zamieszaniu, bo tam już była milicja, nie-milicja. Ale oni jeszcze się gubili, nie wiedzieli i co jest, bo już wojska doszły do przodu. I z tym wszystkim z powrotem do Półkrajczyzny. I wtedy zaczął się tzw. drugi odcinek działalności. Ale ten mi się nie podobał i nie chciałyby tu nic koloryzować. Po prostu, nie chciałyby też i oczerniać a jednocześnie mogę tu coś powiedzieć nie tak.

Po prostu "Mścislaw" nas pytał czy pamiętamy nasze trasy gdzieśmy chodzili, bo przecież była ta zasada, że zostawiało się krowy. Np. jak mieliśmy więcej krów czy więcej jakiegoś bydła, kupionego to się po chłopach oddawało albo było notowane gdzie się /zostawiało/. Jak się wracało tą trasą po jakimś czasie to się odbierało. Kwatermistrz /odbierał/. Coś niecoś myśmy pamiętali. Nie interesowaliśmy się tym. Ale przy okazji zostało zabierane znowu to, znowu to i ciągle wszystko dla szpitala w Wilnie i tam przez jakichś ludzi było odsyłane. Nie podobała mi się ta historia krótko mówiąc. W sumie nigdy się nie dowiedziałem żeby do jakiegoś szpitala w Wilnie coś było wysyłane, coś docierało. Po wojnie już się niczego nie dowiedziałem. To nie było dla oddziału "Łupaszki" bo on wtedy już był w białostockim.

Tak, że do września byłem z nim razem. Było ciągle tylko organizowanie czegoś, zabieranie i odgrywanie do Wilna. Były dwa razy pułkawy bośmy się nadziali na strelitielne bataliony ale tośmy przyskali szybko, bo wszędzie po lasach siedzieli, to byli raczej komuniści. Nie doszło do zwania bliskiego. I wtedy, w jakiejś wsi trafiłem na gazetę, strzęp gazety. Czytam: otworzyli w Wilnie Gimnazjum Polskie. To był październik, coś takiego. I mówię do Włodka: stary patrz, my tu łazimy tak, wszy nas gryzą, właściwie nic nie mamy w ręku, wypadaloby tę IV gimnazjalną zrobić, żeby chociaż tę małą maturę mieć. Dobra, to meldujemy się do "Mścislawa". Zameldowaliśmy się do "Mścislawa" we dwójkę, panie komendancie, czy my tu jesteśmy niezbędni? Jak Polska wróci to pan komendant jest oficerem - pamiętam te słowa bo je wygłaszałem - to będzie wszystko miał, a my właściwie nie mamy nic, nawet małej matury, a czy jesteście my tu aż tak potrzebni po to żeby tu wszystkie te rzeczy organizować, przecież tu są jeszcze inni. - Ja nikogo nie zatrzymuję, tylko broń musicie oddać to raz, a dwa no "Wiś", na niego popatrzył, bo

bo on był taki rosły, ty wiesz, że ja mam prawo teraz, zgodnie z rozkazem Londynu, awansować do stopni oficerskich. "Wiś" zupełnie zeszywniał, no bo to już było dla niego objawieniem. Ja wiedziałem, że mnie to nie grozi, bo nie zaliczałem się do tych gierojów. On w to uwierzył i został. Chcieliśmy razem ale on został. Ja sam odszedłem więc kazali mi oddać broń. Za to dostałem "szóstkę" maulutką z dwoma magazynkami, której natychmiast w tym dniu musiałem użyć. Tak się złożyło.

To już jest straszna historia. Był taki białoruski policjant, który widział, że my jesteśmy w partyzantce. I jak ja wróciłem do tej pokrajczyzny po to, żeby tam skomunikować się jeszcze ewentualnie z "Edkiem" czy z kimś i trafić do gimnazjum do Wilna. Musiałem mieć jakąś bazę, skądś musiałem się wybrać a tam miałem najbliżej. Ten policjant gdzieś mnie przyuważył i podszedł pijany kiedy ja wracałem z tego marszu, z miejscowości gdzieśmy byli, gdzie oddałem broń i dostałem "szóstkę". Starym zwyczajem kulę do lufy wprowadziłem, zabezpieczyłem tylko i do kieszeni wsunęłem. I on przyuważył mnie przy drzewie, ^zby z siekierąⁱ mówi: o są te polskie partyzany tu z powrotem, dajcie broń. Pietia miał /na imię/. Ja pytam, jaką broń? O czym ty w ogóle mówisz? Jak to wy w partyzantce tyle czasu. Ale gdzie, w jakiej partyzantce?. Ja w rodzinie, zacząłem głupio tłumaczyć i tak dalej. On mnie złapał, prawą rękę mi wykręcił swoją lewą, tu siekiere trzymał, pcha mnie w las. Myśmy mieli kryjówkę broni kiedyś tam. On chce mieć ode mnie broń. Czego on potrzebował nie wie, chciał bandziorzyc czy to. Wprowadziłem go do tego miejsca gdzie był skryjówka naszej broni, w której już nic nie było. Ale myślałem, że coś zyskam na czasie bo ja nie mogłem nic zrobić. Miałem prawą rękę wykręconą przez jego lewą i cały czas tę siekiere trzymał. Wtedy powiedziałem: dobrze, puść, żebym tę skrzynię otworzył bo nogą mech odkopałem. I mówię: o widzisz, jest skrzynia ale

muszę to wyjąć. W tym momencie mnie puścił. Ja wtedy susa takiego strzeliłem w krzaki, wyrwałem z prawej kieszeni ten pistolet, jednocześnie, bo dopiero teraz mogłem tę prawą rękę wyciągnąć. I leczę przez krzaki ale on leci za mną bo wie, że ja celuję żeby w drzewo nie uderzyć a on może tylko lecieć za mną, to mu wystarcza. No i nie odwracając się strzeliłem dwa razy. On ryknął, wywrócił się. Ja poleciałem dalej. Przyleciałem do majątku ale "Edka" /Jacka/ tam nie było, był jeszcze jeden, z oddziału "Ojca" - Mietek, który tam przechowywał się ze swoją narzeczoną. Ja mówię: Mieciu, cholera, ehha chyba tego Białorusa musiałem golić. To musimy zobaczyć. Nie mogłem prawie trafić w to miejsce, mimo, że tak je dobrze znałem. Trafiłem. Okazało się, że dostał tu, w to miejsce, raz. Raz tylko. I jeszcze trochę żył ale dużo nie brakowało i Miecio go dokończył. Mówi, no słuchaj stary, nie można z nim bawić się dłużej. Jeszcze musieliśmy go rzeczka spławić żeby nie było śladów, więc zaraz żeśmy go dobili i spuścili. Popłynął. Taka głupawa sytuacja.

I znalazłem się w Wilnie razem z Mietkiem. I tam, po paru dniach tego gimnazjum, do którego zresztą dostałem się cudem. Podstawiłem "araba" żeby zdawał za mnie z języka niemieckiego bo tak dobrze nie znałem a już po trzeciej gimnazjalnej powinienem go znać. I to się rypnęło, że to jest podłożony gość. Nauczycielka chciała to zaraz z miejsca /zgłosić/ do dyrekcji ale się tak przypadkowo zdarzyło, że jej bratanice były koleżankami tego mojego Mietka. I akurat dzień przedtem była mowa o tym żeby "araba" podstawić bo Janusz nie zda. I wtedy powiedziały cioci, ciociu, to jest chłopak, który przyszedł z partyzantki. Ciocia puściła /sprawę/ płazem. I myślałem, że zrobię tę IV, ależ gdzie. Byłem parę, Mietek przychodzi, mówi: stary jest taka sytuacja ...

Na początku wyglądało to w ten sposób - wieczorem, patrzę, że ^{kawał-} ~~pest~~ki drewna owija materiałem, takie sznurki od tego robi. Ja mówię,

co ty kolejkę dziecienną robisz czy co? Co to jest? Nieważne. I dopiero na drugi dzień rano mi mówi: stary, kopyto potrzebne, jeszcze jeden i jest robota do zrobienia. Jaka? co, jak? To co robiłem, mówi, to są kneble, którymi będziemy wiązać. A chciałem żeby w nocy spał spokojnie, to ci dopiero dzisiaj rano mówię. Masz tam jeszcze od "Szczerbca" echo. Już nawiązaliśmy w szkole kontakt. On miał lewą spluwę, my też mieliśmy spluwy. Trudno było bez pistoletu żyć. Jest taka sytuacja. Jakiś ksiądz, nie wiem jak się nazywał, mieszkający w północnej dzielnicy Wilna, tam niedaleko gdzieś mieszkali, dostał do przechowania od organizacji paszporty in blanco angielskie czy amerykańskie. W każdym razie wystarczyło tam zdjęcie wkleić, odpowiednią pieczętkę przydziwnić, co nasza konspiracja miała, do tych formularzy i się było obywatelem angielskim, co przez sojuźników było respektowane. I zwrócono się do niego, ci którzy objęli po "Wilku" żeby to oddał. A on się tłumaczył, że nie ma, że mu zabrali. I nam polecono, w tym czasie kiedy on jest na mszy, przeprowadzić rewizję u niego w domu i odnaleźć, bo na pewno to musi mieć. I byłoby wszystko w porządku, tylko, że ten dom zajęty był przez NKWD, od początku do końca. A tylko ostatnie piętro księdzu zostawili, tam gdzie mieszkał. A pozostałe dwa piętra i parter to były biura NKWD i przy tym wartownik stał. No więc jak to miało wyglądać? Mieliśmy założyć ruskie mundury i na chłama wejść. Na zasadzie, że jak się z mordą mówi do ruskiego jak na warcie stoi to oni wpuszczają jak oficerowie idą. A jak nie wpuści, to najwyżej. Wtedy klapa. I tak się stało. Ja dostałem kurtkę skórzaną, papachę, Włodek miał szynel, a Mundek korzuszek i też papachę, gwiazdy, pistolety. I idziemy, rzucamy mięsem po rusku na prawo i na lewo, bo ten język już się trochę opanowało. Najlepiej mówił Włodek, więc on najgłośniej a my tylko: job twoju itd., mniej więcej. A ten /wartownik/ tak stoi, no idi wp..., od razu /Mundek/ na niego ryknął, bo

on mu trochę drogę zastępował, ten się odsunął na bok, wleźliśmy do środka. A jak już byliśmy w środku, to pierwsze piętro, drugie piętro, ciach, ładnie. Tu się drzwi otwierają, tu wychodzą, tu wchodzi. A ^{na}has, jak tu jesteśmy w środku, nikt uwagi nie zwraca. Jest to mieszkanie i tam pukamy. Gospodyni pyta kto to? Miała tu całe to towarzystwo więc widocznie zawsze wołała pytać. A my - ksiądz kanonik, czy jakoś tak, zasiał, proszę otworzyć. Ona otwiera. Myśmy wparowali, od razu spluwy, knebel jej w usta. Ona widziała ruskich z pistoletami, więc co mogła myśleć? I ryjemy, ryjemy. Powiedziano nam, że kanonik jest słabego zdrowia, to nie możemy robić tego niż on wróci, bo mógłby się przestraszyć. Co będziemy go kneblować, czy tłumaczyć to czy owo? I szukamy wszędzie. Tam są właściwe dwa duże pokoje, kuchnia, trzech ludzi to właściwie niby /niewiele/. Tu, gdzieś jakieś miejsca, a minuty lecają jak cholera. Nigdzie nie ma. Później się okazało, gdzieś kiedyś po latach ktoś powiedział, że podobno w tej rurze na zasłony, w karniszu blaszanym okrągłym, były zwinięte. Tam podobno były schowane. Ale myśmy do tego nie doszli. Już się ta godzina zbliża więc trzeba pryskać. Patrzymy ona wypuła ten knebel, więc Włodek mówi: cholera jeszcze raz ale żeby się nie udusiła, przecież to Polka, przecież nic jej nie chcemy zrobić. Tam jakoś jej to zawiązał ale też lekko i dosłownie, my zatrzaskujemy drzwi a ona, jakoś widocznie głową ruszyła szybko, że myśmy nie zdążyli przez pół piętra zejść, a ona już przez okno ryczała sądząc, że ją ktoś /napdał/. Przecież ona nie wie co się działo, my nic jej nie tłumaczyliśmy. Tylko /krzyczała/ pomocy, ratunku. Ten wartownik na dole widocznie coś sobie skojarzył. Ja szedłem pierwszy, tu się drzwi otwierają, jacyś wychodzą, przełazą ale też nie bardzo wiedzą bo nie wszyscy tu się znają. Tu niektórzy stale przychodzą, ten bywa i tamten włazi. I jak zobaczyłem, że wartownik się odwraca i automat już zdecydowanie kieruje

we mnie. Popatrzyłem w prawo, zobaczyłem jeszcze wyjście na podwórze i przez balustradę tak się machnąłem i skoczyłem tam i oczywiście on serię za mną puścił. Ale zanim on zdążył ustawić się do tego to Włodek tak samo za mną skoczył a Mundek nadział się na niego. Mundka mieli od razu. My przez płoty rzucamy ciuchy, bo przez płoty oczywiście przeskoczyliśmy. I wyskoczyliśmy na uliczkę, która prowadziła do naszego domu. Jesteśmy bez dokumentów. Cholera, wracać, nie wracać. Mundek dostanie po mordzie, sypnie adres ale chyba tak szybko nie sypnie. I ja się tak zastanawiam iść, nie iść. A Włodek mi pokazuje, że idzie a razem mieszkaliśmy. Poszedł i oczywiście już wleciał do kotła. Już był kocioł, bo Mundek rozumował dość logicznie, przecież nikt nie uwierzy w to, że on nie wie gdzie oni mieszkają. Jak dostał parę razy w mordę, w ciągu tych 15 minut, to powiedział, bo pomyślał, że tacy durni nie będziemy żebyśmy szli do mieszkania. I ja nie poszedłem. A Włodek poszedł. Dostał i siedział. Ja wieczorem krążyłem, i tak myślę sobie, wyjść po jakieś papiery bo za chwilę mnie za frak wezmą bez papierów. Cholera jasna. Ale poszedłem na podwórko napompować wody, taka studnia była. I tam mnie poznała jedna z sąsiadek, że ja tam mieszkałem. Jak ja sobie pompowałem wodę, piłem z czapki, to ona mówi: u Fronczaków siedzą, tak tylko przeszła nade mną. No to w porządku. Zwinąłem się i wtedy właśnie przeszedłem te 60 km w nocy, do moich rodziców tam na Białoruś do

Przy czym żeby podkreślić sprawność działania odpowiednich organów. Przeszedłem do domu, matka: coś może chcesz jeść? Nic nie będą jadł, 60 km mam w nogach, daj mi tylko czegoś się napić. I zwałem się na łóżko i chciałem spać. I w tym momencie ojciec: auto podjeżdża, NKWD, z "Gazika" wysiada czterech ludzi. Ja już nie miałem gdzie, tylko pod łóżko się wtoczyłem. Wszedł, popatrzył pod jedno łóżko, popatrzył pod moje łóżko. Mnie się wydawało, że on mnie widzi, mógł

mnie cień zasłaniać, mógł, bo ja tak przy ścianie zupełnie, a wydawało mi się, że widzę jego oczy. Zajrzał do szafy i wyszedł do kuchni z powrotem. Ja już nie miałem innego wyjścia bo to było w amfiladzie. Myśle, teraz chyba boi się podejść bo myśli, że ja coś tam mam. Ja miałem ale tylko trzy sztuki amunicji. Zupełnie nowy pistolet nie ten, który miałem tam w akcji, miałem starego "hiszpana", którego miałem w domu i którego wyciągnąłem jak przyszedłem. Miałem tylko 3 sztuki amunicji, nawet jeśli i 10 by było, to co z tego, przecież nie będą strzelać przy rodzicach. I tak sobie pomyślałem, po cholere ja w ogóle ten pistolet wziąłem, wsunąłem go między sprężyny a materac, bo jeśli mnie złapią, to żeby chociaż bez pistoletu. Głupie rozumowanie w takich sytuacjach. A myślałem, on teraz poszedł kombinuje, że ja mam spluwę, to jak on do mnie coś, to ja mu wygarnę, to teraz on pójdzie po granacik albo po automacik, jak mi tutaj pod to kółeczko szurnie, to dopiero będę wesoły. I tak czekałem, cały dzień, całą noc i następnego dnia do godziny 11 w południe. Bo tak długo siedzieli, kociołek w kuchni założyli. No i koniec. Ze zmęczenia, bo siedłem całą noc, zasnąłem. Dobrze, że nie jadłem, bo skrętu kiszek chyba dostałbym tam, bo bym musiał gdzieś pójść. Jak mi się mokro zrobiło, to matka, która cały czas czuwała, taki dywanik tak przesunęła tylko. Wchodziła do pokoju, przecież miała prawo do pokoju wejść. A oni ciągle grali w karty, z ojcem w szachy. Dwóch sąsiadów przyszło to jeszcze ich zatrzymali. Cały czas grali razem w karty i szachy. Całe towarzystwo było wesołe, oni, sąsiedzi i ojciec. I wtedy, ja byłem tak strasznie zmęczony, że mimo tej grozy zasnąłem i zacząłem chrapać. Nie dałem rady, po prostu byłem tak zmęczony, po tym marszu, po tych wszystkich przejściach, że zacząłem chrapać. Ale matka moja była tak czujna, że pierwsze moje jakieś warknięcie czy chrapinięcie, to ona przeprosiła, chyba nie musi tutaj z nimi razem siedzieć, że ona pójdzie się po-

łożyć. I położyła się na łóżko, pod którym ja leżałem. I teraz moje chrapanie było na jej konto, tak to można powiedzieć, przecież ona oka nie zmrużyła. I o 11 rano następnego dnia się zwinęli. Ojciec mówi: wychodź. Ja mówię: chwileczkę. No i autentycznie za 5 minut wpada jeden z powrotem, ja zdes szapku zabył, pilota kuda gdzie ostawił, ale nie to chyba mam w aucie. I poleciał z powrotem. Podejrzewali, że wyjdę z jakiejś dziury. Oczywiście matce powiedzieli, że myśmy księdza zamordowali, o to chodziło. Po to żeby stworzyć odpowiednią sytuację psychiczną matki wobec mnie. Tak sobie wyobrażali. Matka już w pierwszym pytaniu jak wyszedłem - /czy to prawda/ - odpowiedziałem, stuknij się w głowę.

No i naturalnie już nie czekałem na nic, na oklaski tylko prysnąłem znowu do lasu. A to przecież była zima bo ta nasza akcja odbywała się pod koniec listopada w pierwszych dniach grudnia. W lesie przesiedziałem parę ładnych godzin. Powiedziałem matce gdzie będą i tam doniosła mi pewne rzeczy, które zorganizowała. Wtedy udałem się do jakiegoś leśniczego. Następny marz - całą noc.

Nareszcie w Wilnie. Trafiłem do swoich. Tam tylko szybko, przelotowo dali mi lewe dokumenty na lewe nazwisko. Tylko imię zostało to samo. Imię jest niebezpieczeństwo, bo ktoś odzwie się w przelocie, więc imię zostało. Nazywałem się wtedy Orzeszek, urodzony w Poznaniu, 26 rocznik, któregoś tam dnia, nie pamiętam. No i wtedy: dobrowolcu postąpił w Polskuju Armii, to się tak nazywało. Zgłosiłem się na Zyguntowską żeby przyjechać do Białegostoku. Masa ludzi przyjeżdżała do Białegostoku, tam pryskali. Dostałem cynk od faceta, który miał mi to załatwić z kolei od ojca dostałem ten cynk. No i niestety facet mnie trochę do wiatru wystawił, krótko mówiąc. To znaczy wycofał się ze wszystkiego. Jak przyjechałem do Białegostoku i u niego się zjawiłem, to powiedział: niestety, bardzo chętnie ale nic panu nie mogę pomóc i żadnych papierów panu nie skombinuję.

No bo ja chciałem na innych papierach, już jakichś leglanych, polskich, prysnąć w ogóle. Już nie nie mogłem na i zostałem.

No i wtedy do - Frontowej Oficerskiej Szkoły - /wstąpiłem/.

O jeszcze można by dużo teraz mówić ale to już nie dotyczy tamtych spraw. Później sprawa mego ujawnienia, tej odsiadki i trzech pięknych prowokacji, które mi zakładano w wojsku. Jeszcze nawet jak odchodziłem na emeryturę w 77 roku wtedy chciano mi wręcz /wmówić, udowodnić/, że jestem szpiegiem amerykańskim. Trzy dni mnie przesłuchiowano. Tak sobie koncyrowano. A raz podłożono mi prowokację z Niemcami, którzy rzekomo mieli bunkier z kosztownościami we Wrocławiu a ja miałem zafirmować jako oficer budownictwa i to wszystko miało się wydobyć. Znowu żeby mnie podłożyć. Oczywiście kapnąłem się, że to jest prowokacja. Złożyłem odpowiedni meldunek, że takie historie się zdarzają. I przy okazji zobaczyłem, że facet, jeden z tych Niemców, ma tutaj grupę krwi wytatuowaną. To naszym szanownym organom powiedziałem, no to dobrze, jeżeli mi taką prowokację Niemcy zakładali, jak mówicie, a ja teraz wiem, gdzie ten Niemiec mieszka i ma tę grupę krwi autentycznie wytatuowaną, bo był przy mnie do połowy rozebrany, no to powinniście go teraz aresztować. Okazuje się, że to był facet, który współpracował z informacją, bo do dziś dnia chodzi po wolności. Tylko używa się go do takich spraw żeby go podkładać pod ludzi. Tak, że jak mnie ostatnio, już jak się demobilizowałem, że tak powiem, przechodziłem na emeryturę, założyli mi tę ostatnią prowokację z rzekomym szpiegostwem amerykańskim, to już napisałem na 14 stron do Jaruzelskiego, że od początku kiedy tylko znalazłem się w wojsku, kiedykolwiek były jakieś sprawy, próbowano mi różne świnię podkładać.

Ja oczywiście byłem ujawnionym AK-owcem, bo się ujawniłem w 46 roku i cały czas, zresztą to zobaczyłem w swoich aktach gdyje teraz /obejrzałem/ przy przechodzeniu na emeryturę, że czerwonym flamastrem takim grubym, zostało podkreślone AK. Dokładnie, czerwonym flamastrem

trem. Tak, że jak się otwierało akta, to tylko to było widać. No i zadzierałem, niestety, kilkakrotnie z kontrwywiadem. Kiedyś przychodzi do mnie taki pan, wtedy jeszcze byłem ~~jak~~ majorem, też major i zaczyna piękną rozmowę, że ja jestem taki zasłużony, że przecież w partyzantce to byłem bity na 4 strony świata, że bardzo się nadaję do współpracy z nimi. Co zrobiłem? Wyrzuciłem za drzwi z wielkim krzykiem, tzn. głośno ryknąłem parę takich ciepłych epitetów, że rany boskie, tak, że słychać było w całej jednostce. Drugi raz sytuacja się powtórzyła po dwóch latach jak zostałem zakarbowany już tak pięknie, że później mi zaczęli tak artystycznie prowokacje podkładać, że o tym to są tomy. To nie jest do nagrywania. Kiedy ja to wszystko opisałem w liście do Jaruzelskiego ... kilkakrotne prowokacje po to, żeby mnie zniszczyć tylko dlatego, że ja prezentowałem kiedyś w młodości to, co się komuś nie podobało, że szpiega amerykańskiego robi się tylko dlatego ze mnie, że znaleziono listy kolegi, który wyjechał kiedyś do Ameryki. i ja byłem w Armii Krajowej, znowu połączono te dwie rzeczy, to dlatego ja z kolei jestem agentem KPN-u, w kontakcie z KPN-em tak to poplątano obłądnie.

I napisałem, że teraz ponieważ nikt nie jest mi w stanie udowodnić szpiegostwa amerykańskiego bo w takie niskie rzeczy się nie bawię, to teraz prawdopodobnie przypnie mi się łatki zupełnie prymitywne z tytułu, powiedzmy, dawnej przeszłości, po to żeby mnie zgłoić itd. Chyba skutecznie to napisałem. Napisałem, że to w ogóle nie jest kontrwywiad. Jeśli kontrwywiad robi rewizję mnie jako podpułkownikowi w domu, w jednostce, w piwnicy, w garażu - czterech oficerów starszych stopniem. Wszyscy przecież widzą. Zabrali mi 32 dokumenty, wszystkie moje wspomnienia z Armii Krajowej. Wszystko mam popisane u siebie w domu "moja własność". Dlatego, że jak mi zabierali to musiałem napisać "moja własność". I jak napisałem, że to

nie jest kontrwywiad, to nie są w ogóle ludzie nadający się do tej służby bo nawet nie potrafili u mnie rewizji zrobić. Bo jak się rewizję robi przynajmniej zagląda się pod różne inne miejsca a nie tylko szufladki otwiera, że nawet zdążyłem przedtem notes z trzys-toma adresami wyrzucić tylko dlatego, i to napisałem, że wiem jakie są metody, że później by się szarpało tych 300 ludzi, którzy są w tym notesie adresowym. To jest kontrwywiad!, napisałem ~~to~~.

To nawet w prymitywnej literaturze kryminalnej jest napisane, że naprzód u człowieka robi się rewizję a później się go przesłuchuje. A mnie się przez 3 dni przesłuchuje po 10 godzin a później robi się rewizję. To idiota tylko może, mając kompromitujące dokumenty, nadal je u siebie w domu przetrzymywać. I tak ich ośmieszyłem i tak się chyba wściekł czy on czy ktoś kto to dostał, że mi w zębach to wszystko przynieśli. 32 dokumenty dostałem z powrotem, że jeszcze musiałem podpisać, że wszystko się zgadza.

Utrudniłem bardzo karierę tym ludziom. Bo ja zrobiłem jeszcze taką rzecz: zrobiłem rozdzielnik, to co napisałem do Jaruzelskiego to wysłałem w 6 miejsc do: Najwyższego Sądu Wojskowego, Najwyższej Prokuratury Wojskowej, Ministerstwa d/s Kombatantów, w każdym razie w 6 miejsc. Wiedziałem, że na pewno się żrą między sobą. Jeśli nawet, który będzie chciał to zatamponować to ten drugi mu to wywlecze. I tak się stało. Do tego stopnia, że przez omyłkę to nawet te rzeczy, których nie powinni mi oddać oddali. Bo cztery tajne mapy lotnisk rosyjskich, które przypadkowo w domu miałem też mi w zębach oddali. A ja dlatego, że byłem naczelnym inżynierem wojskowego biura i gdzieś tam w zamieszaniu jak mi były potrzebne na wyjazd nad morze, a chciałem mieć dokładną mapę to sobie zabrałem. Tam akurat były naniesione lotniska radzieckie, no to dobra, bo jadę nad morze, chcę mieć mapę. Ale te miałem akurat wtedy w domu. No więc jak zabrali to ^{przypuszczałem,} ~~myslałem, że~~ że chociaż za to się przejadę. To tak po dupie dostali, przepraszam za dwuznacznik, że nawet

te mapki mi oddali, które ja później oczywiście oddałem do tajnej kancelarii. Ale to mi wszystko zwrócili. Tak dostali po..

Na tych dokumentach był gryf tajności, tak, że oni mieli doskonały pretekst do tego żeby mi za to przydzwonić ale widocznie to to ja napisałem już tak złośliwie

I założyłem się z kolegą, mówię: stary, ja biję zamiast się bronić. I teraz jest pytanie, bo napisałem, że mnie jako byłego żołnierza Armii Krajowej od początku szykanowano, prowokacje zakładano, to wszystko co było z tymi Niemcami kiedy mnie podpuszczano, że teraz wie, że i tak będą szukali jakichś kolejnych, prawdopodobnie zostaną podłożone jakieś lewe papiery albo lewe dokumenty po to aby pokryć swoją nie-udaną działalność i już z góry uprzedzam, że taka prowokacja na pewno zaistnieje. Ponieważ ja już o tym napisałem to oni już tego nie mogli zrobić z kolei.

Z tym ^ukumpem, właśnie z tym Mietkiem, z którym tego Pietię żeśmy załatwiali założyłem się. Ja mówię: stary albo sobie szubienicę na szyję szykuję albo oni dostaną. Nie wiem co robić? Mówi: stary uderzaj. Ja mówię: ja przegram. No to się zakładam. O ile? o 10 tysięcy. Wtedy w 77 roku to było dużo pieniędzy. I przegrałem te 10 tysięcy bo wygrałem sprawę w ten sposób uderzając. Ale zdecydowałem się na to, ~~ponieważ~~ powiedziałem sobie, trudno. Jak mnie tak szmacą to tylko mogę uderzyć.